800-lecie Złotoryi: 1211 - 2011

ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 11(72) • Listopad 2011 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Pamiętajmy o ogrodach

Tu, gdzie dzisiaj żyjemy, jest nasza ziemia, bo tu zapuszczamy korzenie. Rodziców naszych i dziadków wyrwano jednak bezlitośnie z gleby, w którą wrastali od pokoleń. Wyrwano siłą, bez rozczulania, że można uszkodzić delikatne pędy. Nie przejmując się, czy przyjmą się w nowych warunkach. Przeniesiono do pięknego ogrodu, z którego naprędce usunięto dotychczasowych mieszkańców.

Zapuszczamy korzenie, lecz cały czas tkwi w nas ten rajski ogród, z którego wygnano naszych przodków. Krzewimy się, odradzamy zniszczone piękno naszych posiadłości i szukamy… Szukamy punktu zaczepienia. Czegoś, co pozwoli w pełni cieszyć się urokami tej pięknej ziemi, co pozwoli nam wkomponować się w zastane otoczenie, bez unicestwiania największych jego wartości. Zaczynamy żyć historią nowego domu. Zagłębiamy się w obcy nurt wydarzeń. Mówimy, że czerpiemy zeń inspirację do naszych działań, ale niepostrzeżenie przesiąkamy nim, identyfikujemy się z wydarzeniami z przeszłości, z postaciami, z materialnymi pamiątkami, obchodzimy rocznice…

Powoli tracimy pamięć o miejscach, gdzie spoczywają prochy naszych przodków. Nie pamiętamy nazw miejscowości, nie wiemy, co robili. Uciekają daty. Czerpiemy za to bez umiaru z zastanego bogactwa. Co tracimy bezpowrotnie, a co zyskujemy? Czy można sporządzić ekonomiczny rachunek zysków i strat? Czy takie pytania w ogóle są potrzebne?

Miejsca bez ludzi nic nie znaczą. Ludzie bez swojego miejsca na ziemi są ciężarem dla siebie i dla innych. Historii na szczęście nie zmienimy, ale nie rozmieniajmy jej na drobne!

Dostaliśmy w spadku ogród w zamian za ten utracony. Jesteśmy szczęściarzami, bo wielu tracąc, nic nie zyskuje. Ale pamiętajmy, skąd tu przyszliśmy, bo naprawdę nie mamy czego się wstydzić.

Robert Pawłowski

Co kryje ziemia?

Co kryje ziemia wokół Złotoryi? Jakie fakty ujawniają wykopaliska na naszym terenie? Na te pytania odpowiada dr Tomasz Stolarczyk, archeolog, pracownik Muzeum Miedzi w Legnicy.

Dotarło do mnie, że coś interesującego ostatnio udało ci się wydostać spod ziemi w Leszczynie.

Niedawno z racji budowy skansenu w Leszczynie prowadziliśmy prace wykopaliskowe i udało nam się odsłonić fundament budynku. Trudno na razie powiedzieć o funkcji, jaką pełniła ta budowla, ale biorąc pod uwagę teren, na którym stała, można przypuszczać, że mogła mieć związek z wytopem miedzi bądź pełniła funkcję gospodarczą czy pomocniczą przy hutach, które na tych terenach się znajdowały. Obiekt składał się z dwóch pomieszczeń, które powstały w tym samym czasie. W jednym znajdowała się jakaś konstrukcja drewniana, najprawdopodobniej podłoga, w drugim były trzy wnęki zabudowane częściowo drewnem. Wszystko to zostało zasypane różnorodnym materiałem: kamieniami, piaskiem, już po zakończeniu funkcjonowania obiektu. Udało się również odsłonić wejście czy wlot do budowli. Patrząc na ścianki, można zakładać, że coś tam palono, prażono…

W jakim stanie zachował się ten obiekt?

Najniższy poziom pomieszczenia wschodniego tworzyły cztery narożne słupy drewniane, wkopane bądź wbite w teren terasy Prusickiego Potoku. Próbki pobrane z tego drewna zostały wydatowane przez profesora Marka Krąpca z AGH na okres po 1660 roku. I to się ładnie wpasowuje w historię górnictwa na naszym terenie, ponieważ z 1661 roku pochodzi dokument informujący, że książę legnicki prowadzi tu prace poszukiwawcze w dawnej sztolni. To jednak tylko hipotezy, ponieważ obiekt mógł powstać później, nie można dokładnie określić czasu jego budowy. Chronologii obiektu nie można również dokładnie określić na podstawie innych znalezisk np. ceramiki, czyli fragmentów naczyń glinianych znalezionych w czasie prac. Niestety, w obrębie tego budynku nie zachowały się żadne urządzenia do wytopu miedzi. Nie ma też pozostałości po procesie wytopu, np. żużli hutniczych. Ale obecnie zajmuje mnie też lewy brzeg Potoku Prusickiego. Jest tam zasypany, nieznany nikomu, a szczególnie projektującym skansen, obiekt, który być może był dawnym piecem hutniczym. Pobrałem próbkę z górnej krawędzi domniemanego pieca, wysłałem do Krakowa i wstępne analizy pokazały, że niewiele tam miedzi a więcej żelaza. Nie wiadomo zatem, czy był to piec wapienniczy czy służący do wytopu metali. Nie wiem również, jaka jest jego chronologia, bo w pobliżu nie udało się jeszcze znaleźć żadnych przedmiotów, które pomogłyby w ustaleniu daty.

Skąd wiesz, gdzie kopać, by coś znaleźć?

W przypadku Leszczyny dysponujemy kilkoma historycznymi mapami, które pokazują nam tereny prac górniczych po prawej stronie potoku, w masywie góry Młynnik (Leszczyna – Sichów). Dwa lata temu prowadziłem tam pewne prace pomiarowe przy zapadliskach szybów i udało mi się znaleźć oprócz narzędzi górniczych: pyrlika (młotek), żelazka górniczego, łańcuchów, haków, jeszcze fragmenty naczyń ceramicznych i kord, (duży nóż noszony przez chłopów oraz górników). Nóż był nieźle zachowany, łącznie ze skórzaną oprawą. Znaleziska datuję na XIV-XVI wiek. Wszystko teraz zakonserwowane można obejrzeć w Muzeum Miedzi w Legnicy. Podobnie jak efekty poszukiwań w Miedziance.

Mówisz o „tej" Miedziance, czyli o dolnośląskiej Atlantydzie?

Tak, o miejscowości koło Janowic Wielkich. Pracowaliśmy tam niedawno, a w naszych poszukiwaniach pomagał również Filip Springer, autor książki „Miedzianka. Historia znikania". Każdy pracował na własny rachunek. My (współautorem wystawy jest pan Marcin Makuch) szukaliśmy materiałów na wystawę „Miedzianka. 700 lat górniczego miasta", a pan Filip zbierał swoją historię. Przy okazji zapraszam do obejrzenia eksponatów w Muzeum Miedzi. Mamy tam archiwalne zdjęcia, w tym materiały udostępnione przez pana Springera, ale także archiwalne mapy, ikonografię miasteczka, na których można prześledzić historię miasta, w tym również historię jego znikania. Udało nam się dotrzeć do niemieckich kart dokumentacyjnych wnętrza kościoła w Miedziance. Ten kościółek katolicki stoi do tej pory. Obecna forma to efekt przebudowy po pożarze w 1824 roku. A my właśnie dotarliśmy do unikatowych zdjęć gotyckiego ołtarza, który znajdował się w kościele jeszcze przed wojną. Zabytek ten pochodził z końca XIV wieku. Dziś można zobaczyć go jedynie na naszej wystawie.

Miedzianka jeszcze żyje?

Tak, obecnie jest to wieś, która liczy sobie kilkudziesięciu mieszkańców. Mniejsza od Leszczyny. Maksymalnie stoi tam kilkanaście domów.

Wróćmy na nasze podwórko. Powiedz, co cię tak ciągnie do Leszczyny?

Pochodzę z Leszczyny. Znam te tereny. Przy opracowaniu swojego doktoratu wykonałem sprawozdanie, gdzie zaznaczyłem stanowiska, które, moim zdaniem, należałoby chronić ze względu na walory historyczne i kulturowe. Wszystkie związane z górnictwem. I tych stanowisk jest w dolinie Prusickiego Potoku pomiędzy Konradowem, Leszczyną i Prusicami sześć albo siedem. Niedawno z kolegą, Mariuszem Łesiukiem dotarliśmy do następnych materiałów, między innymi do mapy XVIII-wiecznej, gdzie można dostrzec kolejne stanowiska, czyli dawne huty czy miejsca związane z przerobem rudy.

Powód, dla którego zająłem się Leszczyną, jest jeszcze jeden, bardzo prozaiczny. Ze względu na fakt odkrycia nowego nieznanego dotychczas obiektu, prace archeologiczne zostały mi zlecone przez inwestora. Wymóg taki nakłada ustawa o ochronie zabytków. Warto podkreślić, że o odkryciu poinformowała mnie firma prowadząca tam prace budowlane, co nie jest rzeczą częstą, dla firm budowlanych. Niektórzy mają w takich sytuacjach wrażenie, że archeolog to ktoś, kto raczej nie pomaga. Cały ten teren kryje wiele tajemnic i myślę, że powinny znaleźć się pieniądze na jego przebadanie. Już wiele spraw zaniedbano. Podczas tworzenia sceny na występy dymarkowe znaczną część pobliskiego terenu zasypano. Ostatnio w rejonie znajdującego się tu pieca prowadzono prace związane z wykonaniem odwodnienia drogi. Oczywiście nie było przy tym archeologa, nie poinformowano o tym również służb konserwatorskich. Dopiero moje interwencje sprawiły, że zaczęto się baczniej przyglądać temu, co dzieje sie w Leszczynie. Dziwi mnie też stosunek Gminy do tych zagadnień. Urzędnicy powinni uświadomić sobie, że na leszczyńskich znaleziskach można zbudować naprawdę dobrze działający kompleks historyczny. Uważam, że powinniśmy promować to, co mamy również w ziemi. Nasze tereny związane są z miedzią i jej wydobyciem. Nie tylko ze złotem.

Siekierka

Kozów: fragmenty naczyń wczesnośredniowiecznych i osełka

Rokitnica, plan zamku

Myślisz, że sama Złotoryja ma jeszcze przed nami jakieś tajemnice?

Złotoryja, Kopacz…Wiesz, co mnie, jako archeologa irytuje? Wyobraź sobie, że cały Kopacz to potencjalne miejsce, gdzie można znaleźć relikty płukania i wydobycia złota z XIV wieku, a nawet z czasów wcześniejszych. Niestety, cały ten teren nie jest objęty odpowiednią ochroną, jeśli chodzi o archeologię. Tylko podczas budowy fabryki zabawek w 1995 roku przeprowadzono prace archeologiczne. Z tym jednak też był problem, bo archeolog dopiero mógł wejść na teren, kiedy fundament budynku już wykonano i wszystkie ewentualne znaleziska zostały wykopane, a przy okazji uszkodzone. Zobacz, ile tam na Kopaczu powstało domków. Nikt nie nadzorował prac przy wykopach. Gminie nie zależało, konserwator nie wiedział…Mam tylko nadzieję, że kiedy zaczną się prace przy planowanej obwodnicy Złotoryi, to coś ruszy się w kwestii wykopalisk.

A może nie ma o co rozdzierać szat, może tu nic ciekawego nie ma?

Już w 1973 roku profesor Kazimierczyk – pionier dolnośląskiej archeologii górnictwa, podjął tu prace wykopaliskowe. Interesowały go obiekty związane z wydobywaniem i wypłukiwaniem złota. I właśnie on, na Kopaczu, przy drodze prowadzącej do Legnicy, założył dwa wykopy. Pod warstwą 30 – 40 cm odkrył urządzenia do wypłukiwania złota. Tych obiektów znalazł kilka. Relikty takie z pewnością znajdują się na terenie prawego brzegu Kaczawy. Nie wiem dlaczego się o tym nie mówi, bo na tym można by zrobić niezłą atrakcję turystyczną. Podobnie ze sztolniami. Wyobraź sobie, że oprócz tej znanej nam Aurelii istnieją jeszcze dwa obiekty. Idąc od Aurelii w stronę ogródków działkowych, można znaleźć dwa wloty do kopalni. Ale te chodniki nie są oczyszczone, trzeba by przewalić kupę kamieni. Na to konieczne są pieniądze. Tylko z drugiej strony, jeśli miasto chce się promować na złocie, to na takie działania powinno znaleźć fundusze. Jest mnóstwo miast, które na górnictwie zbudowały swój wizerunek. Złotoryja mogłaby iść śladem tych czeskich czy niemieckich. Mówimy o 800-leciu miasta, a gdzie są ci pierwsi górnicy, co wiemy o kopalniach złota? Nie wiemy na ten temat zbyt wiele, bo nikt od ponad 30 lat takich prac w rejonie Złotoryi nie prowadzi, a szkoda, bo archeologia odkrywa fenomenalne materiały i źródła.

A kusi cię to widzę bardzo?

Często biegam sobie po Kopaczu rekreacyjnie i kiedy widzę jakiś nowy wykop pod fundamenty, staję i zawsze zaglądam. Te tereny przykryte są warstwami przepłukanych materiałów z urobku, ale pod nimi znajdują się XIII i XIV-wieczne obiekty związane z wypłukiwaniem złota. Liczę na to, że je znajdę. Kiedyś natrafiłem na hałdy żużla hutniczego, pozostałości po wytopie miedzi przy obecnie wybudowanej siedzibie straży pożarnej.

Nie mów, że taki żużel to cenne znalezisko?

Zastanówmy się, jeśli w dokumentach pojawia się wzmianka z 1426 roku, że w okolicach Złotoryi wytopiono 300 cetnarów miedzi, to może być dowód na to, że sztolnie w Górze Mikołaja zawierały mineralizację miedzi. I niekoniecznie były związane ze złotem. Ale bez prac wykopaliskowych niczego nie udowodnimy.

Udzielałeś się ostatnio również przy tworzeniu ścieżki dydaktycznej w Rokitnicy. Spotkałeś tam jakieś interesujące eksponaty?

Eksponaty nie, ale nabyłem trochę nowych doświadczeń. Razem z Mariuszem Łesiukiem i Joasią Mac pracowaliśmy czysto charytatywnie. Dokonaliśmy pomiarów grodziska, zrobiliśmy jego trójwymiarowy model, przywoziłem materiały z Politechniki Wrocławskiej, żeby pokazać ceramikę odkrytą tam w czasie wcześniejszych prac, prowadzonych tu w latach 60-tych XX wieku. Trochę się napracowaliśmy, ale efekty można zobaczyć na tablicach na ścieżce. Wydaje mi się, że nasz plan jest znacznie lepszy od tego z lat 60-tych, bardziej przemawia do wyobraźni, daje pełny widok tej książęcej rezydencji, pamiętającej czasy Henryka Brodatego.

Nie robiłeś wykopów w okolicach zamku w Rokitnicy?

Niestety nie, nadzór nad pracami miał już ktoś inny, a trochę szkoda, każdy marzy o badaniach na zamku z XIII wieku.

Jak stare znaleziska udało ci się wykopać w naszej okolicy?

W Kozowie prowadziłem w ostatnim czasie prace wykopaliskowe. W czasie budowy domków jednorodzinnych znalazłem obiekty pradziejowe z neolitu bądź epoki brązu i wczesnośredniowieczne (IX – X w.). Były to pozostałości domów, relikty działalności ludzkiej. To wszystko znalazłem na południowym stoku doliny Kaczawy, przy drodze z Kozowa do Wysocka.

Największym problemem dla nas, archeologów, jest to, że na naszym terenie nie prowadzi się planowych badań archeologicznych. Gdyby nie inwestycje, przy których niezbędna jest ocena terenu przez archeologa, to nie mielibyśmy okazji do poszukiwań.

Powiedz, co robisz ze znalezionymi eksponatami?

Zasada jest prosta. Zabytki najpierw trzeba opracować, zrobić opis, datowanie, później przekazuje się je do muzeum, opracowuje kartę inwentarzową, nanosi numery inwentarzowe i eksponat trafia do magazynu. Często stamtąd już nie wychodzi. Moim marzeniem jest, jeśli podejmę prace archeologiczne w Leszczynie, za rok czy dwa stworzyć wystawę prezentującą zabytki z okolic Złotoryi, przede wszystkim obiekty związane z górnictwem i hutnictwem miedzi. Niewielu archeologów interesuje się zabytkami przemysłu, ale już takie wystawy na Górnym Śląsku były organizowane i cieszyły się popularnością. Zresztą oni tam mają fenomenalne znaleziska.

Badania w Leszczynie

Jakie znaleziska cieszą cię najbardziej?

Takie, które związane są z pracą górniczą, np. narzędzia górnicze i rzeczy, które pozwalają na ustalenie chronologii prac wydobywczych na naszym terenie. Dumny jestem też z tego, co znalazłem w Grzybianach pod Legnicą. Od dwóch lat prowadzimy tam wspólnie z dr Justyną Baron z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego prace wykopaliskowe. Przedmiotem badań jest osada z epoki brązu i wczesnej epoki żelaza (X/IX w. p. n. e. oraz VI w. p. n. e.). W latach 70. odkryto w Grzybianach największą na terenie kultury łużyckiej pracownię metalurgiczną, ostatnie prace nie przyniosły tak spektakularnych wyników, jednak i nam teraz udało się znaleźć pojedyncze przedmioty z brązu. Są one dla archeologów szczególnie cenne, ponieważ dobrze datują nawarstwienia przez nas badane i są ciekawe ze względu na samo pochodzenie.

Leszczyna - widok ogólny budowli

Narożnik SE słup

Warto dodać, że eksponat z epoki brązu, siekierkę, znalazłem również w Leszczynie.

Powiedz, co sądzisz o domorosłych archeologach, czyli ludziach, którzy chodzą z wykrywkami (wykrywaczami metalu)?

Niektórzy z nich mają świadomość, czego szukają i co odkrywają. Wielu ma ściśle określone zainteresowania, np. zbierają tylko militaria albo zabytki z czasów napoleońskich. Jeśli podczas eksploracji natrafią na inne skarby, jest szansa, że nas o tym, powiadomią, bo im zabytek z epoki brązu do niczego nie jest potrzebny. I tak dzięki kontaktom z poszukiwaczami czasem uda się pozyskać cenne eksponaty dla muzeów. W ten sposób nasze muzeum wzbogaciło swoje zbiory o trzy masywne, bogato zdobione bransolety z epoki brązu. Zostały one znalezione w okolicach Chełmca przez świadomego wartości eksponatu poszukiwacza. Wtedy tylko mogę takim ludziom dziękować. Ale są też niszczyciele, rabusie i przemytnicy. Bywa, że nieznający się na rzeczy poszukiwacz wyrzuci znaleziony przedmiot, bo akurat jemu nie jest potrzebny, a dla fachowca to może być bezcenne znalezisko. Dlatego lepiej współpracować z domorosłymi archeologami.

Zdradź mi, czy są w okolicy Złotoryi miejsca jeszcze niezgłębione, które mogą pobudzać wyobraźnię odkrywców?

W ostatnio wydanym przewodniku po gminie Złotoryja napisano, że prawdopodobnie w Leszczynie jest XVI-wieczny dwór. Faktycznie jest budynek w tzw. majątku z zachowanymi fundamentami średniowiecznej piwnicy, w której widać ciekawe detale architektoniczne…Rzecz warta uwagi.

I tak w naszej rozmowie zatoczyliśmy kółko, by na koniec powrócić do Leszczyny :)

IWONA PAWŁOWSKA
iwona@pawlowska.pl

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Józef Banaszek, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Danuta Sosa, Jolanta Zarębska (korekta), Barbara Zwierzyńska-Doskocz.
Zdjęcie na okładce: Profesor Jan Miodek podcza wykładu z okazji rozstrzygnięcia I Złotego Dyktanda - fot. Robert Pawłowski.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.
Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.
Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy: I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

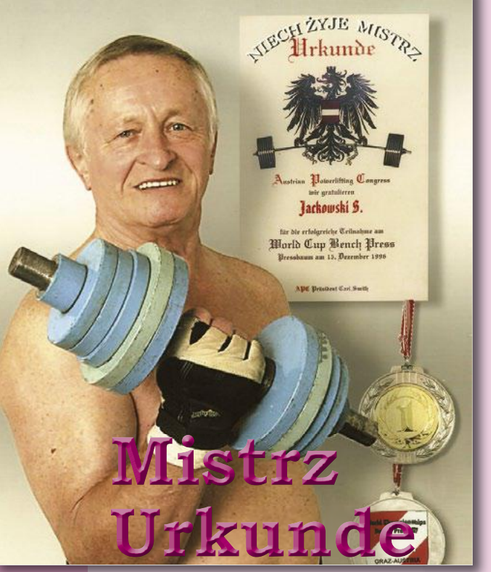

Mistrz Urkunde

Tegoroczna Biesiada Kresowa na zamku w Grodźcu przebiegała w sympatycznej atmosferze i przy słonecznej, prawdziwie letniej pogodzie. Byłam tam i ja – sympatyk Kresów, ze stoiskiem wydawnictw Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Wśród gości zainteresowanych naszą ofertą znalazł się pan Stefan Jackowski. W trakcie rozmowy pan Stefan ujawnił się jako utytułowany zawodnik w wyciskaniu ciężarów leżąc i wzbudził moje zainteresowanie na tyle, że umówiliśmy się na wywiad następnego dnia w Pielgrzymce, gdzie pomimo dżdżu i przelotnych ,,zamaszystych" opadów celebrowano Biesiadę, a my kontynuowaliśmy rozmowę.

Proszę opowiedzieć, jak zaczęła się Pana przygoda ze sportem?

Moja rodzina od 1946 r. mieszkała w Rzeszówku. Podstawówkę ukończyłem w Świerzawie, a później LO dla Pracujących w Złotoryi. Kiedy w 1963 r. jako dwudziestoczterolatek zamieszkałem w Złotoryi przy ul. 22 Lipca (obecnie 11 Listopada) w wynajętym mieszkaniu, moim współlokatorem był, przybyły z Krosna Rzeszowskiego, Waldemar Bielecki. Waldek uprawiał sporty siłowe, w tym wyciskanie sztangi w pozycji leżącej. Skorzystałem z zapału kolegi, który nie szczędził mi wskazówek. Ćwiczyłem w domu na sprzęcie wykonanym przez amatora, ale spełniającym wymogi sprzętu profesjonalnego. Pokochałem tę dyscyplinę i ćwiczyłem rzetelnie, marząc o sukcesie medalowym.

Nie bał się Pan kontuzji? Wszystko to było jakąś wielką amatorszczyzną.

Nie bałem się, bo bardzo dbałem o równowagę, nie przeforsowywałem się. Oczywiście, zagrożenia zawsze istnieją, wiele urazów jest skutkiem lekkomyślności. Wolnymi kroczkami wzmacniałem mięśnie i zwiększałem obciążenie.

Jak długo zmagał się Pan samotnie?

Indywidualnie ćwiczyłem do 1978 r. W tym samym roku wyjechałem do Bełchatowa. I tam zatrudniłem się w przedsiębiorstwie ,,Energominż". Po roku dostałem się do pracy w kopalni odkrywkowej węgla ,,Bełchatów". Wkrótce trafiłem do siłowni z prawdziwego zdarzenia, która mieściła się w hali sportowej kopalni.

Czy spotkał tam Pan wielu zapaleńców?

W siłowni trenował Mirosław Kiełkowski (z uprawnieniami). Jest sędzią klasy międzynarodowej w mojej dziedzinie. Pod jego kierunkiem trenowałem do 2000r. W owym okresie wielokrotnie startowałem. W 1995 r. w Mistrzostwach Polski w Wyciskaniu Leżąc w Bełchatowie i zająłem I m. w V gr., wynikiem 85 kg., a w IV podejściu 90 kg w kategorii 90 kg. Rok 1996 zaowocował I m. - Złotym Medalem i Dyplomem w zawodach przeprowadzonych w Austrii w Pressbaum. W r. 1966 w dniach 4. i 5. maja w Międzylesiu odbyły się VI Mistrzostwa Polski w Wyciskaniu Sztangi Leżąc, gdzie zdobyłem I m. w kategorii wagowej 90 kg. z wynikiem 100 kg, jako weteran w V gr. wiekowej . Organizatorem był Polski Związek Sportowców Siłowych w Zakopanem. W dniach 15.-16. marca 1997 r. uczestniczyłem jako weteran w VII Mistrzostwach Polski Wyciskania w Leżeniu w Nowym Sączu i zająłem I m. w kategorii 90 kg wynikiem 102,5 kg. I tak dobra passa nie opuszczała mnie i w 1997 r. ponownie w Austrii, tym razem w Grazu (13-14 XII) zdobyłem I m. i Złoty Medal (100kg Cortificale).

Dobre to były lata w Pana życiu. Kiedy pojawiła się Świerzawa?

W Świerzawie zamieszkałem w 2007 r. W mieszkaniu ustawiłem rower stacjonarny marki Ketler, dwa hantle i dwie sztangielki po 35 kg. Żyję spokojnie, ćwiczę cztery razy w tygodniu po dwie godziny. Ćwiczę biceps z obciążeniem, wykonuję trzysta sześćdziesiąt powtórzeń, po pięć serii. Nie ograniczam jedzenia, delektuję się wszystkim, na co mam ochotę. Bez ćwiczeń nie potrafiłbym żyć. To jest mój napęd życiowy i płaszczyzna odreagowywania stresów.

Co Pana cieszy w życiu?

Uwielbiam przyrodę, spacery.

Co drażni?

Pijacy, którzy opanowali najlepsze miejsca odpoczynkowe w miastach. Kobiety pijane, palące papierosy na ulicy. Brak kultury, wandalizm i nieróbstwo. Zawsze lubiłem pracować, aktywność mam we krwi. Drażni mnie bardzo ,,bezinteresowna" zawiść ludzka, nawet jeśli nic nie będzie z tego miała/miał, to i tak chętnie popatrzy na czyjeś niepowodzenie i upadek.

Przypomina mi się modlitwa zawistnego: ,,Panie Boże spraw, by Kowalskiemu zdechły krowy i by nie miał więcej niż ja".

No właśnie! Dobrze czuję się wśród ludzi miłych i pracowitych. Od innych stronię. Nie akceptuję żadnej walki poza sportową.

A poznawanie świata?

Też bywałem: Niemcy, Węgry, Słowacja, ZSRR, Czechy. Na Węgrzech pracowałem jako mechanik i przy zbiorze winogron.

Co sądzi rodzina o Pana pasji?

Nie wchodzimy sobie w drogę. Mieszkamy oddzielnie. Mam dwie dorosłe, samodzielne córki, z których jestem bardzo dumny. Pomagałem im zdobyć wykształcenie, bo ono daje lepsze życiowe szanse. Ja nie miałem takiego wsparcia, mój ojciec nie podzielał mojego zapału do nauki, więc chciałem być lepszym ojcem.

Co Pana usatysfakcjonowało?

Dostrzeżenie moich zasług dla sportu siłowego i powołanie na członka zarządu Wojewódzkiego Związku Trójboju Siłowego i Fitness w Łodzi; pełniłem też tam funkcję przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. Zdobycie uprawnień sędziego w mojej dyscyplinie.

A marzenia?

A mam, mam marzenie: mieć osiemdziesiąt lat i wycisnąć sztangę pięćdziesięciokilogramową, który to wyczyn zakwalifikuje mnie na Igrzyska Olimpijskie. Wszystko przede mną, jeszcze tylko osiem lat ćwiczeń - z uśmiechem dodaje pan Stefan.

Dziękuję za rozmowę i poprowadzenie mnie przez meandry tej ciekawej dyscypliny sportu. Również szczerze życzę spełnienia marzeń, o czym chętnie napiszemy .

Danuta Sosa

Siłacze na scenie

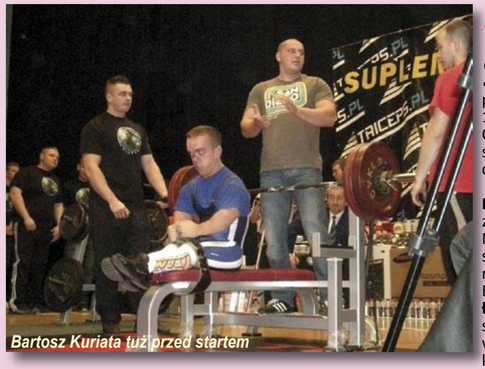
Bartosz Kuriata tuż przed startem

Sobotni słoneczny i ciepły poranek nastroił złotoryjan pogodnie i zachęcił do wędrówek po okolicy i aż dziw bierze, że wielu utknęło na 12 godzin w sali widowiskowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji. No cóż, podzieliłam swój czas na Złote Dyktando i Siłaczy, i wiele godzin spędziłam z tymi pasjonatami.

Organizatorem Mistrzostw był **Andrzej Kocyła** (startujący w kategorii do 100 kg z wynikiem 217,5 kg i drugą lokatą) oraz ZOKiR. Na sędziów powołano : **Brunona Gerschmanna** - sędziego klasy Międzynarodowej, byłego trenera kadry narodowej (5 lat), który został Mistrzem Europy i Vicemistrzem Świata w Trójboju., **Michała Wilka**-wielokrotnego medalistę na Mistrzostwach Polski oraz Mistrzostwach Europy , także w Pradze 2011 i **Stefana Jackowskiego** – dwukrotnego Mistrza Świata WL.

Zawody przebiegały w kilku kategoriach.

Zawodnikom towarzyszyły rodziny, w silnej obstawie przyjechali Węgrzy. Salę widowiskową szczelnie wypełniał tłum, który falował, przelewał się w kolejnych miejscach, by za chwilę znów zmienić swój skład. Cały czas ktoś wchodził, ktoś wychodził pozostawiając po sobie smugę zapachu maści żmijowej, czy podobnego (wspomagającego mięśnie) specyfiku. Było ciasno, gorąco, duszno. A nad wszystkim niepodzielnie dominowała muzyka w nieujarzmionej liczbie decybeli zagłuszających czytelność nazwisk wywoływanych zawodników. I dopiero około godziny siedemnastej, kiedy zawodnicy nie słyszeli już komend prowadzącego, na wyraźną prośbę, ściszono muzykę. Co za ulga dla udręczonych uszu! Nie ukrywam, że w miarę pojawiania się kolejnych uczestników i obserwacji ich zmagań z nieubłaganą materią , nabierałam coraz większego szacunku do zawodników. Razem z innymi oklaskiwałam tych, którzy podeszli, wycisnęli i odeszli, jak i tych, którzy podejmowali walkę i pokonani opuszczali scenę. Kibicowałam złotoryjanom. Bardzo podobały mi się dziewczyny - śliczne, zgrabne i jak na tę dyscyplinę sportu - delikatne. Pięknie prezentowała się **Żaneta Szarata** ze Złotoryi i wrocławianka **Bettina Razzonki - Korkis**, zasłużone brawa w kategorii OPEN KOBIET zebrała **Ewelina Skwierawska** z Legnicy. Podobał mi się występ Węgra **Laszlo Meszarosa**, który został zwycięzcą dźwigając 300 kg. W młodych zawodnikach, takich jak **Piotr Chmielnicki**, **Artur Gwóźdź, Paweł Nowak, Paweł Dominiak** czy **Paweł Chudzik** jest szansa i nadzieja na wypełnienie niszy w ofercie sportowej i jakiejś propozycji na wolny czas młodzieży naszego miasta i okolicy.

W czasie jednej z przerw wystąpiła ***Majka Szaraty*** - córka zawodniczki, która śmigała po scenie niczym barwny motyl, wykonując ewolucje z lekkością i naturalnością przeuroczego dziecka. Aż wreszcie przyszedł czas na zapowiedzianą niespodziankę. Na scenę wkroczył Litwin. Nie zajął wiele czasu, zaprezentował monstrualny biceps, zaprosił do oglądania programu NIE MA ŚCIEMY i oddał się w ręce fanów, którzy oblegli stolik ,,chłopaka z plakatu'' i cierpliwie ustawili się w bardzo długiej kolejce po zdjęcie z autografem.

Kiedy zarządzono kolejną przerwę na popisy siłaczy przed budynkiem, udało mi się porozmawiać z niezwykle sympatycznym zawodnikiem, który był moim faworytem, gdyż z niebywałą gracją i lekkością wyciskał sztangę. Pan **Bartosz Kuriata** chętnie zgodził się na rozmowę, dzięki czemu dowiedziałam się, że podczas nauki w szkole integracyjnej we Wrocławiu, zorganizowano spotkanie **z Ryszardem Tomaszewskim - pięciokrotnym mistrzem olimpijskim**. Pan Bartek zapalił się do wyciskania ciężarów. Skontaktował się z trenerami i oddał duszę ćwiczeniom. Wyciskanie ciężarów, treningi stały się namiętnością i zdominowały wszelkie wcześniejsze zainteresowania. Już po dwóch latach ćwiczeń został powołany do kadry narodowej. Po ukończeniu technikum powrócił do Środy Śląskiej i solidnie trenował, równocześnie pracował jako asystent.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. W 2009 r. w Pucharze Europy w Budapeszcie zajmuje I m. w Wyciskaniu Sztangi Leżąc Osób Niepełnosprawnych do 56 kg. Od trzech lat jest faworytem w Polsce , zajmuje I miejsca zarówno w federacji pełno- i niepełnosprawnych.

W Złotoryi odniósł kolejne zwycięstwo ustanawiając życiowy rekord wynikiem 140 kg.

Przyznaje, że największy wpływ na wybór jego drogi sportowej miał R. Tomaszewski.

A kiedy zapytałam go o stan ducha, bez wahania odparł, że jest człowiekiem szczęśliwym, otoczonym czułą rodziną, która mu żarliwie kibicuje. Jak każdy młody człowiek ma marzenia: Kiedy zamyka oczy, widzi siebie na olimpijskim podium, i do tego celu zmierza.

Wierzę, że wytyczone cele osiągnie. Zobaczyłam dwudziestoczterolatka, który mocno stoi na nogach, wie czego chce. A że pokonuje kolejne etapy i odnosi sukcesy, posiadł spokój i pogodę, które to z uśmiechami rozsiewa wokół.

Zmagania zawodników bardzo sprawnie rejestrowało biuro zawodów. Tablice świetlne w sali, drukowane zestawienia w holu w wystarczającym zakresie informowały o wynikach poszczególnych zawodników. Poniższe zestawienie odzwierciedla stan końcowy Mistrzostw.

Zawody zakończono przed północą. Po akcie dekoracji pośpiesznie wynoszono sprzęt, zbierano rzeczy i serdecznie żegnano się ,, do następnego".

Mistrzostwa obserwowała i opisała Danuta Sosa.

Zapytaj farmaceutę

Ostatnio w naszym mieście (to chyba zjawisko ogólnokrajowe) apteki wyrastają jak grzyby po deszczu. W samym centrum Złotoryi jest ich sześć, a siódmą otworzą wkrótce. Położone są bardzo blisko siebie, zaledwie o kilkaset metrów. Do tej pory nie rozgryzłam, czy to dobrze czy źle dla gospodarki naszego państwa, jednak na pewno dobrze dla nas, czyli pacjentów, czyli klientów aptek.

Listopad, jak wiadomo, miesiącem wzmożonych zachorowań jest. Po kolejnej wizycie u lekarza pierwszego oraz drugiego i trzeciego kontaktu w moich rękach znalazł się plik recept. Przepisano mi lekarstwa na choroby przewlekłe czyli bardzo tanie, leki refundowane oraz bardzo popularne, które można dostać nawet w marketach. Postanowiłam, że tym razem nie wykupię ich od razu w jednej aptece. Błysnęłam intelektem i zdecydowałam, że przeprowadzę tak zwany monitoring rynku.

Gdy pokazywałam swoje recepty w kolejnych aptekach wyłuszczając, że chodzi mi jedynie o zbadanie cen, aby kupić najtańsze leki, zdumienie farmaceutów nie miało granic. Wydaje się, że nikt tego jeszcze nie robił. Generalnie uczciwie podchodzono do sprawy i informowano mnie o kwocie, jaką zapłacę za moje medykamenty. Jednak w jednej placówce zrobiono to dość niechętnie i pani farmaceutka oschle poinformowała mnie, że na pewno różnice w cenach leków będą znikome, wręcz groszowe, po czym chytrze zapytała:

- A ile pani zaproponowano w innych aptekach? Bo ja mogę dać mniej.

Niestety, nie postąpiłabym uczciwie, gdybym ujawniła ceny w pozostałych aptekach. Poza tym byłam zwyczajnie ciekawa efektu moich badań całościowych. Zdecydowanie postanowiłam przejść się po wszystkich aptekach w centrum, aby potwierdzić bądź odrzucić insynuacje oschłej farmaceutki. W badaniu rynku pomagał mi piękny dzień złotej polskiej jesieni. Poza tym moja misja nie była trudna, bo jak już wspomniałam, apteki w naszym mieście położone są blisko siebie, a w jednym przypadku dosłownie drzwi w drzwi. Ciekawe, że w żadnej aptece nie było kolejki. Ba, nie było nawet kupujących! Podejrzewałam, że farmaceutki za błyszczącymi szklanymi ściankami musiały nudzić się okropnie.

Gdy zamykały się za mną drzwi kolejnych aptek, słowa oschłej farmaceutki wcale się nie potwierdzały. Wręcz przeciwnie, ceny różniły się. Czasem nawet znacznie. Otóż na sześć zbadanych aptek tylko między dwiema aptekami różnica w ogólnej cenie za recepty wynosiła jedynie 64 grosze. W każdym następnym przypadku różnice były kilkuzłotowe, od trzech do nawet ośmiu złotych. Jako najwyższą należność za moje leki zaproponowano 145 złotych, a najniższą 124 złote. Zatem różnica wartości za plik recept między najtańszą apteką w centrum Złotoryi a najdroższą wyniosła aż 21 złotych!

Próbowałam analizować zależność cen od położenia aptek lub od tego, jak długo są na rynku; szukałam innego uzasadnienia dla sporej różnicy cen, aby spróbować to wyjaśnić innym klientom aptek. Ponieważ okazało się to niemożliwe, mogę doradzić tylko jedno: pochodzić, względnie pobiegać – wyłącznie dla zdrowia – po siedmiu aptekach w centrum, a jak kto ma ochotę - po dziesięciu w całym mieście (to dla zaawansowanych) i przeprowadzić badanie rynku. No i zapytać farmaceuty. O cenę, naturalnie.

Agnieszka Młyńczak

Kronika roku jubileuszowego

19.10 III Świerzawski Przegląd Talentów „Integracja 2011" zorganizowany przez Bibliotekę Publiczną Miasta i Gminy w Świerzawie oraz Warsztat Terapii Zajęciowej, pod patronatem Burmistrza Miasta i Gminy Świerzawa.

20.10 Wiesław Wójcik z Lubiechowej został wyróżniony w konkursie Dolnośląskiej Federacji Organizacji Pozarządowych „Akcja akacja, akcja dąb - Niezwykli Dolnoślązacy 2011".

21.10 W Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie odbył się V Dzień Czeski.

23.10 Zawodnicy złotoryjskiej sekcji ju jitsu „Kazan" na otwartych mistrzostwach Europy Federacji Kong Sao oraz MSAC zdobyli 2 złote (Mirosław Domagała i Patryk Jaśkowski), 1 srebrny (Agnieszka Leśnicka) i 2 brązowe medale (Patryk Jaśkowski i Sylwia Leśnicka).

23.10 Marcin Pawłowski z OLAWS-u Złotoryja zajął drugie miejsce podczas zorganizowanego w Kaliszu 27. Supermaratonu Kalisia.

26.10 W Galerii Libris odbył się wernisaż wystawy Beaty Makutynowicz Staroskrzydłe Anioły Karkonoskie.

26.10 Stanisław Zawadzki zdobył brązowy medal podczas latawcowych mistrzostw Polski.

27.10 Na sesji Rady Miejskiej dokonano wyboru ławników do Sądu Rejonowego w Złotoryi oraz do Sądu Okręgowego w Legnicy.

29.10 Złotoryjscy akrobaci: Tomasz Antonowicz, Marcin Słupecki, Szymon Rudyk i Marcin Rudziak na odbywających się w Warnie (Bułgaria) mistrzostwach Europy zdobyli brązowy medal w wieloboju w czwórkach męskich.

29.10 W Villi Greta w Dobkowie odbyło się spotkanie z Mikołajem Golachowskim - kierownikiem Polskiej Stacji Arktycznej pt: *„Opowieści o pingwinach i innych zwierzakach, czyli jak to jest na Antarktydzie"*.

30.10 W sali ZOKiR odbył się 18 Festiwal Piosenki Dziecięcej. W kolejnych kategoriach wiekowych zwyciężyły: Sonia Nieruchalska, Angelika Bielecka, Hanna Markiewicz.

3.11 Urzędzie Miejskim odbyło się spotkanie związane z wyborami do młodzieżowej rady miasta.

1.11 W kościele św. Jana i św. Katarzyny w Świerzawie odbyły się kolejne „Zaduszki Poetyckie".

5.11 W Szkole Podstawowej nr 1 odbyło się I Złote Dyktando. Wzięło w nim udział 140 piszących.

5.11 W ramach obchodów 800-lecia naszego miasta w ZOKiR rywalizowali zawodnicy podczas VI Mistrzostw Polskich Siłaczy w Wyciskaniu Sztangi Leżąc RAW.

5.11 Z mistrzostw Polski ju jitsu kata parami w Zielonej Górze zawodnicy sekcji ju jitsu „Kazan" i sekcji ze Świerzawy działających w Ognisku TKKF „Asklepios" przy SM „Agat" w Złotoryi przywieźli 16 medali.

6.11 W kościele Mariackim odbył się koncert zaduszkowy. Pod dyrekcją Jarosława Lewkowa wystąpił chór Bacalarus, grupa żeńska Chóru Kameralnego Politechniki Wrocławskiej „Axion", orkiestra kameralna „Artlibitum" oraz solistka Lucyna Białas (sopran).

7.11 Ruszyła oficjalna strona internetowa sołectwa Czaple:www.czaple.info

9.11 W Złotoryjskim Ośrodku Kultury dokonano uroczystego otwarcia wystawy „Zwierciadło Saskie i prawo magdeburskie – fundamenty Europy".

10.11 Zapadł wyrok 25 lat więzienia dla Arkadiusza S. za szczególnie brutalne morderstwo, którego dokonał 28. lipca 2010 r. w Złotoryi.

11.11 Na zamku w Grodźcu spotkali się właściciele motocykli ciężkich.

11.11 W całym powiecie uroczyście obchodzono 93. rocznicę odzyskania niepodległości.

12.11 Paulina Ruta-Kaczmarska zajęła 4. miejsce w kategorii open kobiet podczas III Rajdu Nordic Walking w Przybędzy na dystansie 42,195 km.

14.11 W auli Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi odbyło się spotkanie z „żołnierzami wyklętymi", członkami podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego walczącego w latach 1944-1963 z próbą sowietyzacji Polski i podporządkowania jej ZSRR.

15.11 W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie z Hanną Kowalewską - poetką i prozaiczką, autorką dramatów i scenariuszy filmowych.

18.11 Starosta Powiatu Złotoryjskiego dokonał otwarcia wyremontowanej drogi powiatowej Stara Kraśnica – Dobków.

19.11 Podczas gali wręczenia nagród zwycięzcom I Złotego Dyktanda wykład wygłosił profesor Jan Miodek.

20.11 W IV Przeglądzie Młodych Kolekcjonerów i Hobbystów w Młodzieżowym Centrum Kultury w Legnicy wzięło udział 18 hobbystów ze Złotoryi.

Wspomnień czar

Podhorce Zofii Karabczyńskiej

Autor na tle zamku w Podhorcach

Do napisania niniejszego artykułu przyczyniło się kilka zdarzeń: pierwsze z nich: moja podróż na Kresy Wschodnie, m. in. do Podhorzec, drugie, to artykuł w „Echu Złotoryi" koleżanki Iwony Pawłowskiej na temat życia i pracy zawodowej Pani Zofii Karabczyńskiej, trzeci, moje osobiste zainteresowania historią Kresów Wschodnich i dziedzictwem narodowym, które tam się znajduje. Należy pamiętać, iż według prowadzonych badań i statystyk niemal co druga rodzina w naszym kraju związana jest z Kresami Wschodnimi. W dniu dzisiejszym to powiązanie występuje najczęściej poprzez przodków, ale jeszcze pośród nas żyją ludzie, którzy tam się urodzili, kształcili czy już znikomo pracowali. Obecnie niewiele pozostało po nich pamiątek, czas robi swoje - niestety. Tak na marginesie, pewnego razu kiedy prowadziłem zajęcia dydaktyczne, swoim uczniom pokazywałem zdjęcia z albumu o cmentarzu łyczakowskim we Lwowie, jeden z nich widząc grób Marii Konopnickiej zapytał: „A Ona była Ukrainką?" To już samo przez się mówi… Pamięć o Kresach II Rzeczypospolitej musi być żywa, gdyż odchodzą od nas ostatni świadkowie, którzy w swojej pamięci zachowali obraz tamtych lat.

Zamek w Podhorcach

Zamek w Podhorcach

Z artykułu Iwony Pawłowskiej dowiedziałem się, że Pani Karabczyńska urodziła się w Podhorcach i do końca II wojny światowej tam mieszkała zanim przyjechała do Złotoryi. W lipcu tego roku miałem okazję odwiedzić Podhorce, mogłem zobaczyć wspaniały zamek – pałac. Jeden z najpiękniejszych w II Rzeczpospolitej. Nie bez przyczyny nazywany był Wersalem Podola. Dziś niestety podupadający i niszczejący z dnia na dzień. Dlatego też postanowiłem napisać o Podhorcach na podstawie wspomnień Pani Zofii wykorzystując do tego również posiadaną wiedzę historyczną.

Na początku może przedstawię historię zamku - pałacu. Podhorce to mała miejscowość, która w okresie II Rzeczpospolitej liczyła zaledwie kilka tysięcy mieszkańców. Zarówno przed II wojną jak i dziś wynikają czasem kłopoty z odnalezieniem jej na mapie. Podhorce leżą obecnie w województwie lwowskim, a przed wojną w tarnopolskim w powiecie złoczowskim. Dokładnie 17 km od Złoczowa i 8 km od słynnego Oleska, w którym to urodził się przyszły polski władca Jan III Sobieski.

Rezydencja w Podhorcach powstała jeszcze w XVII wieku, a jej fundatorem był hetman Stanisław Koniecpolski. W tym miejscu rodzi się pytanie, kto wzniósł ten wspaniały zamek – pałac? Co do tego nie ma do końca pewności, prawdopodobnie był to nadworny architekt S. Koniecpolskiego Wilhelm Beauplan w latach 1635 – 1640. Zamek składał się z trzech dwupiętrowych części: środkowej (tzw. korpusu) i dwóch bocznych skrzydeł. Wszystko zostało wybudowane w duchu renesansowym. Zamek – pałac otoczony został grubym murem, a dookoła płynęła fosa. Nad bramą wjazdową umieszczono napis (oczywiście tylko dla wybrańców: (że jest to miejsce) *„…uciech i odpoczynku"*. Rezydencja została urządzona z wielkim przepychem, ale jej złoty wiek miał dopiero nastąpić…

Po śmierci hetmana posiadłość przeszła w ręce jego syna Aleksandra Koniecpolskiego, który gruntownie przeprowadził prace budowniczo-konserwatorskie. Następnie panem na Podhorcach został Stanisław Koniecpolski, który był synem Aleksandra. On też darował całą posiadłość królewiczowi Jakubowi Sobieskiemu. Po śmierci monarchy Jana III Sobieskiego doszło do podziału majątku i wtedy to zamek – pałac przypadł Konstantemu, który był trzecim synem króla Jana. Ten jednak sprzedał dobra Podhoreckie Stanisławowi Rzewuskiemu, a po jego śmierci dobra przejął jego syn. W taki oto sposób w roku pańskim 1728 Wacław Rzewuski znany ze swych konserwatywnych magnackich poglądów, które skutecznie zwalczały m. in. reformy Stanisława Konarskiego. W kolejnych latach zamek – pałac przeżywał okres rozkwitu i świetności, jednakże jego właściciel został zesłany za udział w konfederacji barskiej (1768 – 1772) w głąb Rosji i to spowodowało, że wojska rosyjskie spustoszyły zamek, a kolejni właściciele niestety nie mogli przywrócić mu dawnej świetności i uroku.

Dopiero, kiedy Podhorce przeszły w ręce rodziny książęcej Sanguszków, posiadłość przeżyła okres swego renesansu. Sanguszkowie z wielkim pietyzmem odrestaurowali zamek – pałac urządzając go z wielkim przepychem. Do Podhorców sprowadzali również pamiątki po rodzinie Sobieskich, które wcześniej się tu znajdowały. Okres pierwszej wojny światowej oszczędził zamek – pałac. Po wojnie w czasie krótkich rządów ukraińskich na tych terenach w latach 1918 – 1919 i wybuch wojny polsko – bolszewickiej w 1920 roku spowodował, iż niemal cale wyposażenie albo rozkradziono albo celowo zniszczono. W dwudziestoleciu międzywojennym książę Roman Sanguszko, ostatni właściciel i pan na Podhorcach, odrestaurował zamek, wielu pamiątek nie udało się sprowadzić, ale nie przeszkodziło mu to, aby w zamkowo – pałacowych komnatach urządzić wspaniałe muzeum. Warto w tym miejscu wspomnieć osobę księcia Romana, bo to i ciekawa i barwna postać szalonych lat 20. i 30. XX wieku, a co najważniejsze - pamięta go Pani Karabczyńska. Jak Sama mówiła, był człowiekiem wielkiej elegancji i klasy, filantropem, miłośnikiem pięknych kobiet i samochodów.

Roman Sanguszko, był znakomitym kierowcą, jednym z najlepszych w II Rzeczpospolitej. W swoich rękach posiadał unikalną na owe czasy kolekcję wspaniałych automobili. Już w 1926 roku zakładał w Polsce pierwsze kluby samochodowe. Dzięki jego inicjatywie powstawały ochronki, szkoły, baseny i boiska. W niesamowity sposób dbał o swoich pracowników na folwarkach, zapewniając im opiekę zdrowotną i emeryturę wraz z ziemią pod budowę własnego niewielkiego gospodarstwa. Książę Roman przed II wojną kojarzony był z pewnym incydentem. „…W 1934 roku Mościce opuścił inżynier Tadeusz Krynicki odchodząc do prac przy budowie Centralnego Ośrodka Przemysłowego, a jego miejsce w oddziale parowym Wydziału Elektrycznego zajął inż. Feliks Stankiewicz. Opuszczenie Mościc przez inżyniera Krynickiego odbiło się szerokim echem w Tarnowie. Powodem tego był burzliwy romans jego żony z księciem Romanem Sanguszko i w konsekwencji rozpad małżeństwa państwa Krynickich. Romans ten tak opisał w swojej autobiograficznej książce: „Wojna zaczęła się w Tarnowie" Roman Szydłowski: Wybuchła wielka miłość, jak z „Trędowatej".

Zamek w Podhorcach

Zofia Karabczyńska dzieckiem będąc.

Pani Wanda Krynicka rozwiodła się z mężem, książę Roman gotów był ją poślubić. Ale tu wtrąciła się księżna matka Konstancja, bardzo dbała o arystokratyczne zasady,

(…) Oświadczyła, że nie wyrazi zgody na to małżeństwo i nie wpuści synowej do Gumnisk.

(…) Pani Krynicka postanowiła urodzić księciu syna, sądząc, że to może utoruje drogę do serca matki ukochanego.

(…) Lekarze ostrzegli ją, że nie powinna mieć dziecka ze względu na chorobę nerek.

(…) Urodziła syna, lecz sama umarła.

Z Londynu zabalsamowaną Wandę przywieziono do Gumnisk i była to jej pierwsza wizyta w pałacu. Piotr Sanguszko, jedyny syn księcia Romana, zmarł w listopadzie 1989 roku, gdzie wyemigrował wraz z ojcem Romanem w 1939 roku. ..." Sam książę Roman zmarł pięć lat wcześniej, bo w 1984 roku.

Na podstawie artykułu Roberta Lichwała z biuletynu: http://www.azoty.tarnow.pl/?doc=biuletyn&id=5&art=15

Jak już wyżej wspomniałem, Pani Karabczyńska de domo Łań, urodziła się w Podhorcach. Na samą nazwę miejsca urodzenia pojawia się w jej oku błysk. Wspólnie przerzucamy z Panią Zofią stare fotografie, które przetrwały wojenną zawieruchę. Mimo, że są pożółkłe, to zachowały się w dobrym stanie. Pokazują świetność podhoreckiej rezydencji, uśmiechniętych i radosnych ludzi. Sama Pani Karabczyńska podkreśla, że to były inne czasy…

Roman Sanguszko z Jewej

W Pohorcach Pani Zofia ukończyła szkołę siedmioklasową, resztę edukacji kontynuowała już po wojnie. Do szkoły uczęszczała m. in. z jedną z córek zarządcy folwarku księcia Romana panną Schtauferówną. Warto dodać, że kierowniczką szkoły była pani Władysława Szczepkowska, która po wojnie kilka lat pracowała w naszym złotoryjskim Liceum Ogólnokształcącym, następnie wyjechała do Legnicy. Pani Karabczyńska była jedynaczką. Dom, w którym mieszkała, wybudowany był w 1922 roku i stoi po dzień dzisiejszy. Rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne. Wszyscy żyli szczęśliwie, dopóki nie wybuchła najstraszliwsza wojna w historii…

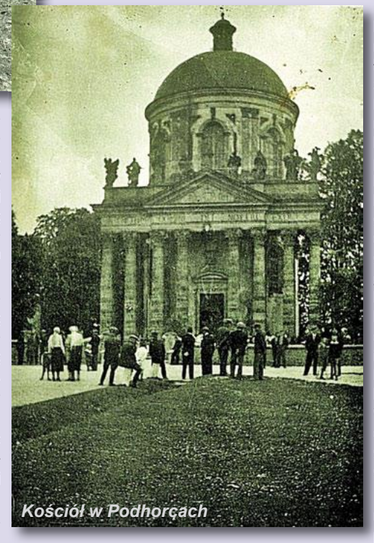
Kościół w Podhorcach

Przed wojną, jak wspomina Pani Zofia, w zamku – pałacu istniało na pierwszym piętrze muzeum, które przyciągało rzesze turystów. Kustoszem w muzeum był wuj Pani Karabczyńskiej – Ludwik Dziedzic. To, że wuj pełnił tę funkcję, było powodem częstych wizyt małej Zosi w posiadłości Sanguszków. Książęce apartamenty mieściły się na parterze, natomiast na drugim piętrze znajdowała się wspaniała biblioteka i archiwum ze starodrukami. Niestety, po wkroczeniu sowietów, uległa dewastacji (Rosjanki używały książki jako podpałki w piecu). Zanim wybuchła wojna, Podhorce służyły Sanguszkom jako letnia rezydencja. Książę Roman zjeżdżał tu każdego lata wraz ze swoją świtą. Na czas nieobecności jego apartamenty były po prostu zamykane. Już od początków marca ogrodnicy książęcy przygotowywali ogród na wizytę pana Romana. Aleja z krzewów grabowych, która prowadziła od bramy wjazdowej do fosy, była równiutko przycinana. Pośrodku ciągnęły się szpalery róż wzdłuż grabin. Po tym praktycznie nic nie zostało. Z krzewów grabowych, których nie przycinano, po wojnie wyrosły drzewa, a cały park podhorecki swoim wyglądem nie przypomina tego sprzed wojny.

Zamek w Podhorcach

Z inicjatywy księcia, nieopodal zamku w byłych zabudowaniach folwarcznych, została otwarta gospoda wraz z pokojami gościnnymi. Przeznaczona ona była głównie dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, aby mogli co lata uczestniczyć w warsztatach malarskich, organizowanych z inicjatywy księcia Romana, który był wielkim miłośnikiem sztuki. Przedwojenne Podhorce posiadały: 8 sklepów spożywczych, pocztę, szkołę podstawową, nadleśnictwo, browar, młyn, wędliniarnię, piekarnię, dworzec autobusowy oraz 2 folwarki - jeden w stronę Brodów, a drugi w stronę Złoczowa. Mimo wszystko Podhorce zachowały nadal charakter wiejski.

Wojna zastała księcia Romana na Węgrzech, zamkowo – pałacowe eksponaty zostały zniszczone i rozkradzione, chociaż niektóre z nich uratowano i obecnie eksponowane są w muzeum zamkowym w Olesku.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Podhorców sytuacja mieszkańców uległa całkowitej zmianie. Młodość Pani Zofii, która powinna być beztroska, stała się walką o przetrwanie. Życie zamieniło się na gorsze w straszliwym systemie totalitarnym, jakim był komunizm. W roku 1940 sowieci w Podhorcach nakręcili film historyczno – propagandowy o Bohdanie Chmielnickim. Wielu podhorzan było statystami w tej produkcji, a wśród nich Babcia Pani Zofii. Po okupacji sowieckiej nastąpiła okupacja hitlerowska, która również odcisnęła piętno zarówno na życiu jak i psychice mieszkańców Podhorców. Po 1944 rozpoczął się czas repatriacji. Polacy musieli opuścić dotychczasowe miejsce zamieszkania. Również Pani Zofia wyjechała. Po wojnie odwiedziła swoje rodzinne strony, ale to już nie ten świat i nie te klimaty…

Dzieci ze szkoły w Pohorcach śród nich Pani Zofia. Okres okupacji sowieckiej

Tomasz Szymaniak

Złotoryjanie 1211 - 2011

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej z pomocą Fundacji Współpracy Polsko – Niemieckiej w dniu 15 października 2011 r. zrealizowało swoje kolejne zadanie z kalendarza obchodów 800 –lecia Złotoryi, przygotowując Sesję popularnonaukową na temat: **WYBITNI ZŁOTORYJANIE**.

Gościnnie przybyła pani **Jutta Graeve – Wölbling,** szczegółowo omówiła przebieg pracy przedwojennych złotoryjskich pastorów. Przypomniała pierwsze kazanie Lutra wygłoszone w Nowym Kościele w 1518 r. w kaplicy zamkowej rodu von Zedlitz. Przywołała czas studencki Georga Helmricha, który tamże poznał Lutra i Me-

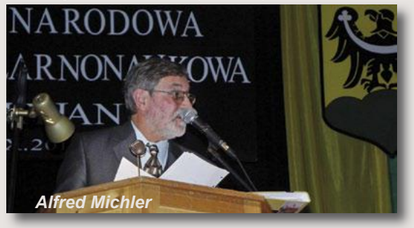
Alfred Michler

lanchtona oraz Valentina Trozendorfa. Kiedy Helmrich został burmistrzem Złotoryi, powołał Trozendorfa na dyrektora szkoły łacińskiej. Tenże jako przyjaciel Lutra i Melanchtona propagował nowoczesne idee współzarządzania uczniów w złotoryjskim szkolnictwie. Są one wciąż obecne w niemieckich szkołach w postaci funkcji przewodniczącego szkoły. Następnie prelegentka powiodła słuchaczy przez wojnę 30– letnią do końca kontrreformacji. Od tej pory prawie we wszystkich miejscowościach były gminy katolickie i protestanckie.

Na początku XX w. po objęciu władzy przez narodowych socjalistów ewangelickie życie gmin rozpadło się. Lukę wypełnił Kościół Wyznawców, który nie zgadzał się

Roman Gorzkowski

na prześladowanie Żydów, skazując się na gniew narodowosocjalistycznego państwa.

W Złotoryi przez 33 lata działał pastor **Friedrich Guhl**. Oprócz remontu kościoła zebrał fundusze na budowę szpitala, który ruszył w 1938 r. W 1945 r. po wkroczeniu Armii Czerwonej, wyposażenie szpitala przeniesiono do zachodnich Niemiec. Pastor Guhl korzystnie inwestował pieniądze z czynszu i w latach 80-tych wysyłał pomoc do Polski. Ponadto pastor spisywał historię Złotoryi i jej dzwonów. Znaczna część opisów zachowała się, z czego korzystają współcześni historycy i dziejopisarze.

Parafią dolnego miasta kierował pastor **Budy**, który proponował skautom aktywne zajęcia dla zrównoważenia

Aneta Mazur

wpływów Hitlerjugend. Po wojnie kościół NNMP używany był także przez Niemców, dopóki był pastor Bürgel, tj. do 4.08.1947 r. Niemcy wspominają, że polski **ks. Michał Dunas** wielokrotnie chronił pastora przed nieprzychylną komunistyczną władzą. Na zakończenie prelegentka wspomniała pastora **Johanesa Grünewalda**, który zostawił potomnym obszerne wyniki badań historii kościoła na Śląsku.

Referat zatytułowany ,,Złotoryjanie w bitwie pod Le-

Jutta Graeve Wolbling

gnicą w 1241r."przedstawił **prof. Stanisław Dąbrowski** – pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego.

W obszernym wywodzie gość szczególny - **Herbert Helmrich** omówił ,,Rolę i znaczenie kolonizacji na Śląsku XII i XIII w. na przykładzie rodu Helmrichów". Dociekliwych odsyłamy do książki A. Michlera ,,Złotoryjskie rody - Helmrichowie".

Ponadto z wielką uwagą wysłuchano : **Agatę Brzozowską**, która przedstawiła ,,Postaci złotoryjskiej palestry", **Alfreda Michlera –** autora książki o V. Trozendorfie w wystąpieniu na temat ,,Wybitni pedagodzy w dziejach Złotoryi". **Dr Janusz Prus** zaspokoił niedosyt ogólnej wiedzy o ,,Rzemieślnikach i przedsiębiorcach"

Andrzej Frąckiewicz

Zainteresowanie wzbudziło wystąpienie **Andrzeja Frąckiewicza** prezentującego ,,Ludzi górniczego trudu". To temat bliski złotoryjanom, gdyż wiele rodzin miało powiązania zawodowe z górnictwem. W ostatniej części wystąpiła **Aneta Mazur** z prezentacją tematu ,,Lekarze Ziemi Złotoryjskiej". Niejednemu słuchaczowi przypomniały się chwile grozy i radości, spowodowane stanem zdrowia swojego, czy bliskiej osoby. Ostatni referat przygotowany przez Leszka Antonowicza przeczytała córka autora. W tekście zatytułowanym ,,Złotoryjscy mistrzowie sportu" szczegółowo omówiono indywidualne wyniki poszczególnych sportowców w akrobatyce, tenisie ziemnym i siatkówce. Pojawiła się także piłka ręczna i nożna oraz lekka atletyka i strzelectwo.

Referat Leszka Antonowicza przeczytała córka autora

W powyższym przedstawieniu nie wspomniano o referacie **Romana Gorzkowskiego** ,,Ksiądz Michał Dunas – pierwszy powojenny proboszcz parafii św. Jadwigi w Złotoryi" i drugim, zatytułowanym ,,Görlitz i Złotoryja. Stosunki między dwoma miastami" zaprezentowanym przez **Magdalenę i Thomasa Marucka**, ponieważ zostaną wydrukowane w obszernych fragmentach w „Echu Złotoryi". W czasie przerw promowano książkę M. i A. Michlerów ,,Złotoryjanie" i serwowano pyszności szwedzkiego stołu.

Sesję prowadziły Danuta Sosa i Aneta Wasilewska.

Danuta Sosa
Zdjęcia -Kajetan Kukla

Herbert Helmrich

CO POTEM?

Wspólny, posesyjny obiad przyniósł nowy pomysł: jedziemy do Dobkowa, do gniazda rodu Helmrichów Nastała niedziela, 16 października 2011r. Wszyscy stawili się na czas i ruszyliśmy. Kiedy za Sędziszową wdarliśmy się w błogi spokój krajobrazu, widoki zaparły dech w piersiach . Z zachwytem śledziliśmy przepiękną panoramę Pogórza Kaczawskiego, a wzrok sięgał dalej, hen! po wyraziście zarysowane góry. Nasze polskie góry i od razu niektórym włączył się szwendaczek, i poszliby wprost, przed siebie, nie bacząc, że w podróż udali się w inne miejsce i w innym celu. Dobrze, że kierowcy nie tracili zdrowego rozsądku i zameldowaliśmy się w ,, Willi Grety", gdzie oczekiwali już nas gospodarze – państwo Rozpędowscy. Z zainteresowaniem wysłuchaliśmy opo-

wieści o remontach, przebudowach i kreowaniu nastroju dzisiejszego pensjonatu.

Wzmocnieni kawą i przepyszną szarlotką udaliśmy się za gospodarzami na wędrówkę po wsi. Po drodze wysłuchaliśmy opowieści o wspaniałych mieszkańcach, którzy włączyli się w obchody 800 lecia Dobkowa porządkując swoje obejścia i najbliższe otoczenie.

Wysiłkiem zbiorowym przykościelny teren zaaranżowano tak, by uszanować miejsca dawnych kwater, choć po cmentarzu pozostało już tylko kilka epitafiów, które starannie miejscowy kościelny umieścił na murze. I tak Dobków ma swoje lapidarium. Wielka szkoda, że kościół ograbiono z rzeźb przedstawiających dziesięciu

Apostołów (ocalały dwie oddane do renowacji).

Jeszcze na moment zatrzymaliśmy się przy kamieniu pamiątkowym, by za chwilę zanurzyć się w czeluściach okazałego budynku, będącego obecnie własnością Stowarzyszenia, z przeznaczeniem na Dom Pracy Twórczej. Nasi przewodnicy z zapałem i uśmiechem szczegółowo informowali nas o mobilizacji mieszkańców w szukaniu dla siebie sposobu na życie W tak sprzyjających warunkach rozwija się rękodzieło artystyczne i pszczelarstwo. Pan Rozpędowski z nadzieją patrzy w przyszłość, wie, że może polegać na wielu społecznikach, w tym oddanej i pomysłowej małżonce.

Pozostawiliśmy ślad po sobie gratulacyjnym wpisem w Księdze Pamiątkowej. Pan Helmrich, wielokrotny bywalec Dobkowa z żalem westchnął, że już nic więcej nie da się o jego rodzinie w Dobkowie znaleźć.

Wieczorem spotkaliśmy się na pożegnalnej kolacji i ćwiczyliśmy uśmiech przed sympatyczną fotografką.

Dla Państwa relację sporządziła i zdjęciami okrasiła DANUTA SOSA

Görlitz i Złotoryja

Stosunki między dwoma miastami

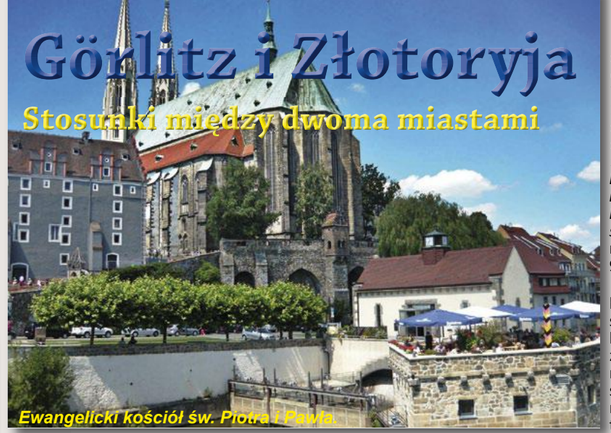
Ewangelicki kościół św. Piotra i Pawła.

Kiedy przegląda się niemieckojęzyczne publikacje traktujące o historii i kulturze Dolnego Śląska, w indeksie nazw miejscowości *Görlitz* i *Goldberg* są zawsze obok siebie. Tak samo jest ze *Zgorzelcem* i *Złotoryją* w polskich publikacjach. Już ta alfabetyczna bliskość w obu językach stanowi pewien punkt styczności między

Miejsce tragicznej śmierci dekarza , złotoryjanina Franza Antona Hesse

Fragment nagrobka Martina Göldnera, którego druga żona była złotoryjanką

naszymi miastami. Ale w tym wystąpieniu tematem będzie raczej bliskość historyczna i geograficzna na przykładzie zupełnie nieznanych i doskonale znanych osób.

Cmentarze noszą w sobie wiele historii. Z nagrobków przemawiają do nas dawno zapomniane osoby. Cmentarz św. Mikołaja w Görlitz to najstarsza miejska nekropolia – pierwsza wzmianka o niej w kronice miejskiej pochodzi z 1305 r. Można tam znaleźć interesującą protestancką sztukę sepulkralną XVI-XVIII w. Nazwa cmentarza pochodzi od stojącego na jego terenie późnogotyckiego kościoła św. Mikołaja.

Przyjrzyjmy się jednemu z grobów w zachodniej części cmentarza. Nazywany jest *Pochodem życia*; ma wysoki czworokątny cokół, ukoronowany figurą zmartwychwstałego Chrystusa. Pochowany jest w nim **Martin Göldner** (1690-1766) z Trójcy. Ów Göldner żonaty był dwa razy – jego pierwsza żona, Katharina Thomas, córka sukiennika Christopha Thomasa, zmarła w połogu w 1715 r. Z wyczerpującego napisu na nagrobku dowiadujemy się między innymi, że *Najwyższy wynagrodził mu tę stratę* ***Marią Elżbietą Roseman, córką mistrza piekarskiego Christopha Rosamana ze Złotoryi****, z którą w szczęściu przeżył długie lata*. Maria Elżbieta Roseman urodziła się 9.11.1694, zmarła 7.12.1758.

Jednym z piękniejszych zabytków w Görlitz jest kościół św. św. Piotra i Pawła (konsekracja w 1497 r., bliźniacze wieże otrzymał w 1890 r.). Obok niego stoi tzw. *Waidhaus*, czyli spichlerz do przechowywania marzanny barwierskiej. W latach 1447-1529 znajdowała się w nim łacińska szkoła miejska. Najprawdopodobniej właśnie w niej pobierał nauki Valentin Friedland Trotzendorf po przybyciu do miasta w 1506 r. Swoją karierę nauczycielską rozpoczął właśnie w Görlitz dziesięć lat później. W latach 1519-24 Trotzendorf przebywał we Wrocławiu, gdzie przyjął święcenia kapłańskie i zasiadał w kapitule katedralnej; między 1525 i 1527 rokiem był rektorem szkoły miejskiej w Złotoryi, następnie działał w Legnicy przy projekcie uniwersytetu oraz w Wittenberdze. Od 1531 r. znów na stanowisku rektora szkoły złotoryjskiej.

Kilka metrów na południowy wschód od *kościoła Piotrowego*, jak mieszkańcy Görlitz nazywają kościół św. św. Piotra i Pawła, wśród bruku ze złotoryjskiego bazaltu (!) usytuowano kamień brukowy z piaskowca, mający kształt krzyża. Oznacza on miejsce, w którym 3 sierpnia 1776 zginął śmiercią tragiczną robotnik, który spadł z dachu kościoła. **Dekarz**, ofiara wypadku, **pochodził ze Złotoryi i nazywał się Frantz Anton Hesse.** Jego nagrobek znaleźć można na zewnętrznej ścianie wschodniej kościoła św. Mikołaja. Dekarz Frantz Anton Hesse został pochowany na cmentarzu św. Mikołaja.

Szkoła klasztorna (dzisiejsze Gymnasium Augustum) również wiąże się z Trotzendorfem i jego uczniami. Dzisiejszy neogotycki budynek gimnazjum znajduje się dokładnie w miejscu, w którym w pierwszej połowie XIX w. został zburzony klasztor franciszkański w Görlitz. Franciszkanie od średniowiecza prowadzili w nim szkołę. W czasach reformacji klasztor został zamknięty, a budynek służył już tylko jako szkoła. Uczył tu Laurentius Ludovicus, który w latach 1584-94 był nawet rektorem.

Ludovicus (1536-1594) pochodził z Siebeneichen/Dębowego Gaju niedaleko Lwówka Śląskiego; był najlepszym uczniem Trotzendorfa w Złotoryi. Po studiach (1553 r. we Frankfurcie nad Odrą, a w 1558 r. w Wittenberdze) przybył do Görlitz; oprócz tego był wydawcą dzieł Trotzendorfa.

Od 1554 r. rektorem w Görlitz został G. Otmann, który również był uczniem Trotzendorfa oraz Melanchtona, przyjaciela Lutra. Przed 1544 r. Otmann (występujący w źródłach również jako Utmann) był nauczycielem w Wittenberdze.

Valentin Ritter, syn rektora Petera Rittera, był także uczniem Trotzendorfa w złotoryjskim gimnazjum – w latach 1563-83 pełnił funkcję burmistrza Görlitz. Mieszkał w domu przy Rynku Dolnym (Untermarkt) pod numerem 22 – dzisiaj portal wejściowy tej kamienicy znany jest jako Łuk Szeptu (Flüsterbogen).

Niejaki Johann Claji ze szkoły złotoryjskiej, która słynęła z wysokiego poziomu, wydał w 1568 r. w Görlitz swoje wiersze. Trotzendorf uczęszczał do szkoły w Görlitz, co dało mu podstawy do stworzenia w późniejszych latach słynnego gimnazjum łacińskiego w złotym mieście.

Założony w 1234 r. klasztor franciszkański podporządkowany był złotoryjskiej kustodii. Franciszkanie w Złotoryi pojawiają się w dokumentach pierwszy raz w 1242 r. Dla Görlitz pierwszą datą wyznaczającą poświęcenie

Fot. Kajetan Kukla

Referenci: Thomas i Magdalena Maruckowie

Nagrobek Frantza Antona Hesse

Tu spoczywają strzaskane członki młodzieńca Frantza Antona Hesse, urodzonego w Złotoryi koło Legnicy w październiku AD 1754 i w tym samym dniu ochrzczonego. Jego rodzice to Hans Christian Hesse […] w Złotoryi i Maria Anna z domu Ventzel. Frantz zakończył swoje 22-letnie życie 3 sierpnia 1776 roku, kiedy o trzeciej po południu spadł z dachu kościoła św. św. Piotra i Pawła, gdzie pracował jako dekarz, pokrywając dach nowymi płytami miedzianymi. Spadł z wysokości 84 łokci.

Szóstego dnia tego samego miesiąca jego ciało bez duszy zostało złożone w tym miejscu na wieczny spoczynek.

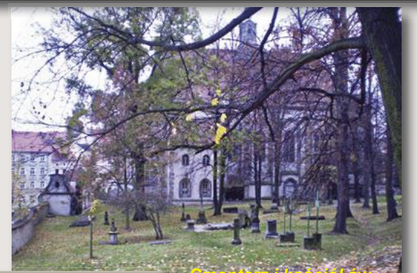
Cmentarz i kościół św. Mikołaja w Görlitz

Nagrobek Martina Göldnera

Tutaj oczekuje szczęśliwego zmartwychwstania Martin Göldner, szlachetny mieszczanin, jak również kupiec tutejszy, który narodził się Roku Pańskiego 1690, dnia 30 października w Trójcy, z chrześcijańskich rodziców: ojca Christopha Göldnera i matki Marii z domu Heydrichówny.

Jego pierwsze małżeństwo z Catharine Thomasówną, córką z prawego łoża tutejszego sukiennika Christopha Thomasa, trwało ku jego niewypowiedzianej rozpaczy od 22 sierpnia 1714 do 17 września 1715, a więc jedynie rok i trzy niedziele, jednak Bóg pobłogosławił go w jego krótkim i szczęśliwym małżeństwie jedną córką, jeszcze żyjącą, Marią Catharina po mężu Suillerową, która powiła mu 13 wnuków. Drugie małżeństwo zawarł w dniu 29 października 1716 roku z Marią Elżbietą Rosemanówną, córką Christopha Rosemana, mieszczanina i starszego cechu piekarzy w Goldbergu. Najwyższy wynagrodził mu pierwszą stratę wielkim szczęściem, wielokrotnym błogosławieństwem i długimi latami [pożycia]. Martin Göldner spłodził w tym szczęśliwym małżeństwie dwóch synów i dwie córki.

Obaj synowie, Johann Gottlob i Carl Sigismund zostali w tym mieście kupcami. Z córek przy życiu pozostała Joanna Elzbieta, po mężu Warneyrowa, najmłodsza córka Joanna Christiana, po mężu Schützowa, zgasła niespodziewanie w 19 wiośnie swego żywota, dnia 19 grudnia Roku Pańskiego 1749 i podążyła w wieczność przed swym ojcem, który podążył za nią 17 listopada 1766 r., przeżywszy na ziemi 76 lat i 18 dni. Jej matka, urodzona dnia 9 listopada 1694 roku, zasnęła spokojnie snem wiecznym 7 grudnia 1758 roku, przeżywszy 64 lata i 27 dni.

kościoła klasztornego jest rok 1245. Konsekracji świątyni dokonał biskup miśnieński.

Do kustodii złotoryjskiej należały klasztory w Lubaniu (1273), Lwówku Śląskim (przed 1285), Legnicy (1284), Żaganiu (1284), Krośnie Odrzańskim (1272), Görlitz, Budziszynie (1248), Żytawie (1283), Żarach (1284) i Löbau (1273).

W 1270 r. na Śląsku kustodie franciszkańskie znajdowały się we Wrocławiu, Opolu i Złotoryi.

Zapraszamy do Görlitz! To zaledwie niecałe sto kilometrów od Złotoryi. Można przypatrzeć się pięknym zabytkom, pochodzić po bruku ze złotoryjskiego bazaltu i zagłębić się w historię złotoryjan, którzy zostali tu na zawsze.

Magdalena i Thomas Maruckowie
Zdjęcia i tłumaczenie napisów nagrobnych: Magdalena Maruck

Samorząd terytorialny

- demokratyczny sens istnienia

Jak się wydaje, niewielu mieszkańców nie tylko naszego miasta żyje na co dzień samorządnością i rozumie jej zawiłości. Ustawa o samorządzie gminnym stwierdza wręcz że „gmina podejmuje działania na rzecz wspierania i upowszechniania idei samorządowej wśród mieszkańców gminy a zwłaszcza wśród młodzieży". Nie tylko dlatego zdecydowaliśmy się na łamach *Echa* przybliżać niektóre problemy związane z tym bardzo ważnym zagadnieniem. Jak się okaże – *tak się wyśpisz, jak sobie pościelesz*, czyli dobrze wygląda samorządność lokalna, gdy właściwie ją rozumiemy i chcemy realizować.

Najważniejszy akt prawny, Konstytucja z 1997 roku, nie podaje dokładnej definicji samorządu terytorialnego, ale zapewnia mu prawo do uczestniczenia w sprawowaniu władzy publicznej poprzez wykonywanie zadań, które nie są zastrzeżone dla innych organów państwowych. Powszechnie się przyjmuje, że podmiotem samorządu terytorialnego jest wspólnota samorządowa. Wspólnotą tą są wszyscy mieszkańcy danej jednostki samorządu terytorialnego, czyli mieszkańcy gminy, powiatu lub województwa. Cytowana ustawa mówi dosłownie: „Mieszkańcy gminy tworzą z mocy prawa wspólnotę samorządową". W danych społecznościach lokalnych wybiera się przedstawicieli, którzy reprezentują jednostkę i realizują zadania jej przeznaczone. Poprzez możliwość wyboru tych przedstawicieli, każdy mieszkaniec wspólnoty ma gwarantowany i równy wpływ na podejmowane decyzje publiczne. Wybory do jednostek samorządu terytorialnego są bezpośrednie, powszechne, równe, a głosowanie w nich jest tajne. Taki rodzaj głosowania zapewnia Konstytucja. Formą aktywności wspólnot samorządowych są także referenda lokalne. Mieszkańcy decydują w nich o sprawach ich dotyczących oraz mogą poprzez referendum zdecydować o odwołaniu organu stanowiącego gminy, powiatu lub województwa. Krótko mówiąc, pod pojęciem samorządu terytorialnego rozumiemy wspólnotę terytorialną, która wybiera swoich reprezentantów i przez nich realizuje zadania jej dotyczące.

Istota samorządu terytorialnego opiera się na dwóch zasadach. Pierwszą z nich jest zasada pomocniczości, zwana inaczej zasadą subsydiarności. Polega na tym, że zamiast koncentracji wszystkich zadań w większych jednostkach w państwie, powierza się je mniejszym, które samodzielnie mogą poradzić sobie z ich realizacją. Z tą zasadą wiąże się zasada decentralizacji a Konstytucja gwarantuje jednostkom samorządu terytorialnego pewną suwerenność w wykonywaniu zadań własnych i brak podporządkowania hierarchicznego organom wyższych jednostek. Mimo tego polski samorząd terytorialny nie jest autonomiczny. Ustawy mogą zobowiązywać wspólnoty terytorialne również do wykonywania zadań zleconych z zakresu administracji publicznej.

Jednostki samorządu terytorialnego posiadają dochody własne, a na zadania zlecone przydzielane im są środki finansowe na pokrycie ich realizacji, co szerzej przedstawię w podrozdziale dotyczącym zadań i kompetencji. Nad nimi sprawowany jest nadzór weryfikacyjny, który polega tylko na kontroli zgodności z prawem danych działań jednostek. Nadzór ten nad legalnością działań jednostek sprawują Prezes Rady Ministrów, wojewodowie, oraz regionalne izby obrachunkowe. Warto w tym miejscu podkreślić, iż to, czy w danej sytuacji nadzór będzie pełnić wojewoda czy regionalna izba obrachunkowa, zależy od przedmiotu sprawy. Jeżeli będą to sprawy finansowe, to kompetentne do nadzoru będą tylko izby.

Każda wspólnota samorządowa ma odrębną strukturę organizacyjną. Organami gminy miejskiej są: rada gminy oraz wójt, burmistrz lub prezydent miasta. Powiat wykonuje swoje zadania poprzez radę powiatu i zarząd powiatu. Organami województwa są natomiast sejmik województwa oraz zarząd województwa. Przewodniczącym zarządu powiatu jest starosta, zarządu województwa - marszałek.

Samorząd terytorialny opiera swoją pozycję na aktach prawnych, których nieprzestrzeganie oznacza naruszenie prawa. Podstawy prawne samorządu zawarte są więc w Konstytucji ale także w Europejskiej Karcie Samorządu Lokalnego (EKSL), w ustawach krajowych oraz prawie unijnym.

EKSL zawiera ogólne zasady samorządu, które są wspólne dla demokratycznych społeczeństw. Podaje ona definicję samorządu lokalnego, który obejmuje „prawo i zdolność społeczności lokalnych, w granicach określonych prawem, do kierowania i zarządzania zasadniczą częścią spraw publicznych na ich własną odpowiedzialność i w interesie ich mieszkańców". EKSL przyznaje samorządom prawo do podejmowania działań, które nie należą do kompetencji innych jednostek oraz obarcza ich odpowiedzialnością za ich zrealizowanie. Uznaje ona, że istnienie samorządów lokalnych pomaga budować Europę, która w szczególnym stopniu opiera się na decentralizacji władzy. EKSL przyznaje społecznościom lokalnym możliwość posiadania i zarządzania własnymi środkami finansowymi. Część z tych środków musi pochodzić z podatków i opłat lokalnych. Karta została ratyfikowana przed uchwaleniem Konstytucji, ale mimo to, na podstawie art. 241 ust. 1 tej ustawy szczególnej, ma pierwszeństwo przed innymi ustawami i stanowi część krajowego porządku prawnego. Europejska Karta Samorządu Lokalnego dotyczy tylko samorządu gminnego i powiatowego. Jeżeli chodzi o samorząd województwa, została stworzona Europejska Karta Samorządu Regionalnego, której Polska jeszcze nie ratyfikowała.

Warto również wskazać rolę prawa unijnego jako obowiązującego w Rzeczypospolitej Polskiej. Do Unii Europejskiej przystąpiliśmy w dniu 1. maja 2004 roku. Jeżeli chodzi o relację prawa Unii Europejskiej do prawa RP, przepisy unijne nie odnoszą się wprost do samorządu terytorialnego, ale oddziałują na niego. Przykładem tego może być postanowienie, że obywatel Unii mieszkający na terenie państwa członkowskiego ma czynne i bierne prawo wyborcze na takich samych zasadach, jak jego rodowity mieszkaniec. Zastrzec należy jednak, że w polskim ustawodawstwie funkcje w organach wykonawczych pełnić mogą tylko Polacy. Kolejnym przykładem jest Komitet Regionów w Unii, który jest organem doradczym w sprawach polityki regionalnej, edukacji, środowiska i transportu. W jego skład wchodzi 21 przedstawicieli władz samorządu lokalnego i regionalnego, co jest dowodem pośredniego wpływania prawa unijnego na samorządy.

Podsumowując: samorząd terytorialny jest to taki związek osób, który dąży do realizacji jakiegoś celu, przez co posiada cechy korporacji. Ma on prawo do działań własnych, które powinny zaspakajać potrzeby wspólnoty samorządowej, do której przynależność wynika z ustawy. Samorząd w wykonywaniu zadań z administracji publicznej ma pewną samodzielność i działa przez organy, wyłonione w głosowaniu tajnym, w powszechnych, równych i bezpośrednich wyborach. O tym, jak ważnym podmiotem jest samorząd terytorialny, świadczy jego pozycja prawna, która wyrażona jest między innymi w najważniejszym w Rzeczypospolitej Polskiej źródle prawa, Konstytucji. Obok tej ustawy szczególnej, podstawy funkcjonowania samorządu terytorialnego określone są również w ustawach ustrojowych, takich jak ustawa gminna, powiatowa czy wojewódzka. Samorząd terytorialny czerpie swoje regulacje także z prawa unijnego. Jest to więc szczególny podmiot, który powinien, naszym zdaniem, coraz głębiej zakorzeniać się w życiu społecznym i politycznym Polski.

Jeśli cierpliwość Czytelników będzie łaskawa, to w kolejnym odcinku planujemy odnieść się do wyborów samorządowych, następnie przyjrzeć się obowiązkom burmistrza oraz rady miejskiej w kontekście tego, jakie działania mogą i powinni podejmować „zwykli" członkowie wspólnoty samorządowej.

Roman Gorzkowski

Młodością uskrzydleni

Fot. Bartosz Bardziński

Studia wybieramy

Wrocław jest jednym z największych w Polsce ośrodków akademicznych, więc nic dziwnego, że złotoryjanie tak często decydują podjąć naukę w tym właśnie mieście. „Europejska Stolica kultury", „Wenecja Północy", „Vratislavia" – nazwa nie robi kandydatom na przyszłych studentów najmniejszej różnicy. Ważne, że jest dobrze, daleko i jednocześnie blisko od domu.

Królowa nauk

Ponieważ sam z sobą nie będę rozmawiał, umawiam się na spotkanie z Olą – studentką, która nie jest umysłem ścisłym, ale od zawsze interesowała się matematyką. Pytam, dlaczego Wrocław, dlaczego taki (chociaż jeszcze nie wiem jaki) kierunek i czy łatwo, czy może jednak trudno, a ona chętnie odpowiada.

Ola wahała się pomiędzy ekonomią a zarządzaniem. Na to drugie wybrała się z dwóch powodów – jednym z nich jest mniejsza liczba osób na roku, a drugim - namowy mamy koleżanki, która jako dyrektor banku doskonale wie, jakich specjalistów jest na rynku za dużo, a który kierunek może ułatwić otrzymanie pracy. Dziewczyna jest jednak realistką i zdaje sobie sprawę, że dyplom daje MOŻLIWOŚĆ znalezienia pracy i takie hasła jak GWARANCJA i PEWNOŚĆ można włożyć między bajki.

Z innego założenia wychodzi mój drugi rozmówca. Artur jest przekonany, że ukończenie jego szkoły gwarantuje dobrze płatną pracę. Po namyśle dodaje jednak, że nie chodzi tu wyłącznie o prestiż uczelni, ale o kierunek, który – jak sam twierdzi – wybrał w sposób inteligentny i przemyślany.

- Marketing i Public Relations to jest coś! Na tym można dobrze zarobić.

„Czas to pieniądz" - Benjamin Franklin

Wybieranie kierunku ze względu późniejsze zarobki niektórym studentom wydaje się co najmniej śmieszne. W końcu nie bez powodu mówi się, że czas poświęcony na studia, może być najlepszym okresem w życiu. Niekończące się imprezy, nieobowiązkowe zajęcia (często zresztą nawet te obowiązkowe można sobie podarować bez większych konsekwencji), nowi znajomi...

Marlena jest hedonistką i chociaż po przeprowadzeniu z nią krótkiej rozmowy poważnie wątpię, czy znane są jej tego typu słowa, to jej styl życia nie pozostawia żadnych wątpliwości. Marlena ma bogatego ojca, który miesięcznie inwestuje w jej „edukację" prawie 3 000 złotych. Nie, nie 300 i nie dlatego, że szkoła jest droga. Marlena wynajęła dla siebie kawalerkę, na co w rzeczywistości nie może sobie pozwolić zbyt wielu studentów. Nie pracuje, nie ma zamiaru się uczyć.

- Jak tato płaci, to dlaczego miałabym nie korzystać? No właśnie? W końcu kto ma pieniądze, ten ma wolny czas.

Wracamy na ziemię

Ola jednak sprowadza mnie na ziemię i szybko porzucam myśli o uwiedzeniu Marleny w celu uzyskania bogatego teścia. Chociaż dziewczyna zgadza się z tym, że młoda osoba nawet bez pomocy rodziny może sobie poradzić finansowo, to wie, że nie ma cudów. Muszą o nich zapomnieć przede wszystkim studenci uczący się w trybie stacjonarnym.

- Nie jest łatwo pogodzić pracę ze studiami. Nie ma się wtedy czasu na naukę i na spotkania ze znajomymi. Nie można wykorzystać w pełni swojego potencjału, nawet jeżeli otrzyma się jakieś śmieszne stypendia.

„Choć człowiek niejednokrotnie narzeka na pracę, nie może się bez niej obejść." - Antoni Kępiński

Ponownie kontaktuję się zatem z Arturem i tłumaczę mu, że chociaż wierzę w jego możliwości i, że po studiach szybko zostanie krezusem, to jednak ciekawi mnie, z czego podczas samych studiów będzie opłacał rachunki.

- Jakie rachunki? Przecież będę dojeżdżać do Wrocławia tylko na weekendy. Czy w Złotoryi szukał pracy?

- W Złotoryi nie ma pracy, dlatego zacząłem studia, po których łatwo otrzymam ją w dużym mieście.

Temat pracy nie daje mi spokoju. Chociaż dwie trzecie moich rozmówców nie musi się martwić o pieniądze (bogaty ojciec, studia zaoczne), a pozostała reszta (Ola) posiada niewyczerpane pokłady optymizmu, postanawiam samemu sprawdzić, jak to jest z pracą we Wrocławiu. W związku z tym piszę takie CV, że jak na nie patrzę, to sam mam ochotę się zatrudnić i wysyłam je do kilku interesujących mnie firm oraz do wielu innych, które by mnie nie zainteresowały, ale za to same są zainteresowane znalezieniem kogoś do pracy.

W przypadku tych pierwszych otrzymuję miłe maile (przynajmniej od kilku z nich), w których dziękują mi za zainteresowanie, ale chwilowo nie poszukują nikogo nowego (co w sumie można było wywnioskować po tym, że owe firmy nie zamieszczały ogłoszeń), natomiast reszta...

Sprzedaj i się nie daj

Jedna z ciekawych ofert gwarantowała początkowe zarobki na niskim - zdaniem ogłoszeniodawcy - poziomie (2 300 – 3 000 złotych miesięcznie), więc pomyślałem, że dla potrzeb artykułu mogę się „zniżyć". Rozmowa kwalifikacyjna wypadła dobrze, CV wzbudziło zaciekawienie i poproszono mnie o stawienie się jutro w pracy na okresie próbnym. Nie przeczuwając niczego złego poszedłem i przekonałem się, że uczciwa płaca nie popłaca.

Wywieziony kilkadziesiąt kilometrów od Wrocławia byłem świadkiem tego, jak pozbawieni moralności sprzedawcy wciskali – trudno znaleźć inne, kulturalne słowo, które by opisywało ten proceder – drogą telewizję cyfrową osobom, które mogłyby lepiej wydać te kilkaset złotych. Szczytem szczytów było wypranie umysłu starszemu panu, który wprost błagał sprzedawcę, aby telewizję założyli mu jutro z samego rana, bo później ma długo oczekiwaną operację w szpitalu i przez kilka dni nie będzie go w domu. Sprzedawca jednak odparł, że nie zależy to od niego i jak się podpisało umowę, to później trzeba cierpliwie czekać na monterów.

Student – trzpiotowaty, wyluzowany i szczęśliwy(?)

Czy bycie studentem naprawdę jest takie proste jak się to wielu osobom wydaje? Według Marleny, życie studenckie to bajka, która będzie trwała i trwała – indeksu nie trzeba przecież zdawać w terminie, a rok zawsze można powtórzyć. Artur także nie narzeka – co prawda studiowanie w trybie zaocznym jest męczące, ale większą część miesiąca ma wolną. Ola natomiast, pomimo swojego optymizmu, odpowiada:

- Raczej nikt nie założył, że bycie studentem jest proste, ale bez wątpienia jest jednym z najlepszych okresów w życiu. Przede wszystkim ta różnorodność: studia, praca, znajomi, podróże. Możliwość testowania wielu działań, wielu aktywności sportowych, działalności charytatywnych.

„Podpalmy wszystkie drukarnie/Po co farba na gazet stronicach" –Zielone Żabki, „Gazety"

Na koniec pytam moich rozmówców, czy jeżeli los by się do mnie uśmiechnął, i mój tekst trafił do „Echa Złotoryi", to czy nie będzie problemów z wykorzystaniem przeprowadzonych rozmów. Ola i Artur nie mieli niczego przeciwko, a Marlena z rozbrajającą szczerością odparła:

- Tatuś nie czyta gazet. Albo czekaj, zmień mi jednak imię. No to zmieniłem.

Aleksander Bielecki

Barbórka w Starym Zagłębiu Miedziowym

Wiekowe są tradycje na ziemi złotoryjskiej w wydobywaniu minerałów, którymi natura hojnie obdarzyła nasz region. Przez cały rok, z wielkim trudem, ale konsekwentnie górnicy przetwarzają te dobra. Przychodzi jednak taki jeden dzień w roku, kiedy górnicy świętują. Jest to dzień św. Barbary.

Ziemia złotoryjska od wieków obficie dostarcza minerałów, które górnicy w trudzie przetwarzali.

Dzisiaj żywą tradycją jest wspólne „Barbórkowe" święto obchodzone przez górników z rejonu Starego Zagłębia Górniczego w Polskiej Miedzi, spadkobierców po kopalniach „Lena", „Nowy Kościół", i „Konrad", emerytów i rencistów górniczych oraz ich rodzin.

Pamięć o złotoryjskich górnikach i ich dokonaniach jest kultowa. Każde spotkanie wywołuje wiele emocji, wzbudza wspomnienia i raduje duszę. Dzień Górnika jest świętem większości mieszkańców regionu. Z tej okazji odbywają się specjalne spotkania, koncerty i występy artystyczne.

Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych każdego roku integruje brać górniczą w Złotoryi i Wilkowie, witając ją po staropolsku kuflem piwa i gorącą kiełbasą przy akompaniamencie miejscowej orkiestry górniczej. Następnie przypominamy tradycje pasowania na gwarka i skoku przez skórę oraz pochód Lisa Majora.

Uroczystość kończymy specjalnym występem artystycznym.

W tym roku obchody „Barbórki" planujemy w centralnym punkcie Złotoryi tj. w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji w dniu 02.12.2011r. od godz. 16.00 Przewidujemy udział ok. 1500 osób. W tym udział delegacji z Niemiec i Francji oraz Czech, którzy uczestniczą w realizacji projektu pn. „Polsko-czeskie spotkanie w Krainie Wygasłych Wulkanów" Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Nysa.

Imprezą towarzysząca będzie turniej piłki siatkowej, w którym wezmą udział pracownicy miejscowych zakładów pracy głównie branży górniczej i branż pokrewnych oraz członkowie ZTTG. Uczestnikami turnieju będą również zaproszeni górnicy z Zagłębia soli potasowej z Alzacji.

ZTTG uczestniczy w mikroprojekcie realizowanym w ramach Funduszu Mikroprojektów Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Republika Czeska – Rzeczpospolita Polska 2007-2013: „Polsko – czeskie spotkanie w Krainie Wygasłych Wulkanów". Działania rozpoczną się od dnia uroczystości barbórkowych obchodzonych w naszym mieście z udziałem delegacji czeskiej , a część główna projektu będzie miała miejsce w maju 2012 r. podczas otwarcia skansenu górniczo-hutniczego w Leszczynie

Chcemy przybliżyć naszym południowym sąsiadom tradycje górnicze oraz przedstawić historię średniowiecznego górnictwa regionu Gór i Pogórza Kaczawskiego, na którym w XIII w. odnotowuje się również obecność Czechów. Odbędą się pokazy starych ginących zawodów, walk, broni, strojów średniowiecznych oraz pokazy wytopu metali średniowieczną metodą. Ponadto odbędzie się konferencja naukowa pn. „Śladami Krainy Wygasłych Wulkanów", która przedstawi wpływ przemysłu wydobywczego na kształt rozwoju naszego regionu. Konferencja poprzedzi uroczyste otwarcie skansenu. W zaplanowanej części artystycznej będzie można wysłuchać zespołów muzycznych z Polski i Czech.

Mariusz Nocek

Rewir pluszcza nad Kaczawą

Fot. Łukasz Łukasik

Na niespełna kilometrowym odcinku między wodospadem pod Jerzmanicami, gdzie bzierze swój początek zasilająca zalew Młynówka, a progiem zwalniającym nurt tuż przy brodzie za Mostem Żelaznym, Kaczawa po raz ostatni przypomina sobie, że jest rzeką górską. Leniwie snująca się wcześniej woda spłynąwszy trzymetrową kaskadą skłębia się i - nagle ocknąwszy - przyspiesza, by za chwilę wartkim nurtem pomknąć w kierunku miasta, omijając po drodze sterczące gdzieniegdzie owalne głazy. Jeśli przyjdzie Ci wybrać się w tamte strony, podążając wzdłuż rzeki zauważysz bez trudu na większości tych kamiennych wysepek niewielkie białe plamki ptasich odchodów. To znak. Znak, że oto znalazłeś się w rewirze pluszcza. I choć to tylko niewielki ptaszek, którego nie znając niechybnie zignorujesz, trzeba Ci wiedzieć, że - w rzeczywistości - to godzien najwyższej uwagi, prowadzący wyjątkowy tryb życia, prawdziwy ptasi oryginał. Jego sąsiedztwo to zaszczyt, którego dostępuje niewielu ludzi. Jest bowiem ptakiem rzadkim, spotykanym w Polsce tylko gdzieniegdzie. Zresztą, jak miałoby być inaczej, skoro jego krajowa populacja to ledwie tysiąc par. Każdy lokalny złotoryjski miłośnik przyrody powinien więc poznać go bliżej. I to obowiązkowo. Oto pluszczowe *resume*.

Pluszcz pospolity *(Cinclus cinclus)* wygląda jak..... No właśnie, jak? Najtrafniej odda to określenie: ptak o wielkości kosa i sylwetce strzyżyka. Krępy i zwarty, z krótką szyją, tudzież krótkim zadartym do góry ogonkiem. Upierzenie zwykle ciemnobrązowe, przechodzące w czarne, przy czym głowa i kark są zwykle jaśniejsze. Na podgardlu prawdziwa ozdoba - charakterystyczny biały śliniak. Gustownej szaty dopełnia czarny wyglancowany dziób. W całości skromny i gustowny, chciałoby się rzec - prawdziwy ptasi elegant. Na próżno trudzić się z rozróżnieniem samicy od samca – zadanie to praktycznie niewykonalne, bo różnią się jedynie wielkością. Pluszcz jest gatunkiem osiadłym, co oznacza, że nie odlatuje na zimę. Gdy jednak zbyt ciężka zima skuwa lodem wody zamykając żerowiska, przenosi się czasowo w cieplejsze rejony, na południe lub zachód. Jego typowym biotopem są górskie wartkie strumienie i rzeczki, o czystej wodzie i kamienistym dnie, urozmaicone porośniętymi krzewami brzegami. Rzadziej pojawia się na niżu, jeśli wypatrzy tam jakiś bystry strumyczek bądź rzeczkę. Idealnie, gdy w jego środowisku znajdzie się jakiś mostek, wodospad, czy stary młyn wodny. Nie omieszka założyć przy nich gniazdo. W innym razie uwije je tuż nad wodą, pod korzeniami przybrzeżnych zadrzewień, albo w szczelinie skalnej, czy też w zagłębieniach betonowych urządzeń wodnych. W takim oto środowisku gniazduje i żeruje. A to drugie jest zjawiskiem tak osobliwym, że nie sposób nie opisać go szerzej. Pluszcz żeruje bowiem głównie pod wodą. To jedyny ptak śpiewający, który pływa i nurkuje, poszukując w kamienistym dnie larw chruścików, drobnych skorupiaków i innych bezkręgowców oraz małych rybek. To nurek, w dodatku świetnie przez naturę wyposażony. Na nogach ma mocne pazury, którymi przytrzymuje się dna, maszerując pod prąd po dnie. Mocno wypełnione ciężkie kości działające jak odważniki, ułatwiające zanurzanie w wartkiej wodzie. Nozdrza wyposażone w błoniaste klapki, zapobiegające dostawaniu się wody do układu oddechowego. Dodatkowe przeźroczyste powieki w oczach, spełniające funkcję okularów. Krew o większej zawartości hemoglobiny, pozwalająca na dłuższe wstrzymanie oddechu. Wreszcie pióra, nasączone wydzieliną z gruczołu kuprowego, chroniącą przed przemakaniem. Dzięki takiemu „ekwipunkowi" potrafi bez względu na porę roku schodzić do głębokości znacznie poniżej jednego metra i przebywać pod wodą nawet do pół minuty.

Obserwowałem nasze kaczawskie pluszcze wielokrotnie. Fascynujący widok, choć zadanie nie takie łatwe. Ptak to wprawdzie niezbyt płochliwy, rzadko jednak daje się podejść na mniej niż trzydzieści kroków. Gdy tylko zauważy, że się zbliżasz, odlatuje z furkotem tuż nad wodą w górę rzeki z głośnym „tzik", „tzik", by po parunastu minutach wrócić z powrotem. Chcąc napawać się dłużej jego widokiem, najlepiej wspomóc się solidną lornetką lub też przygotować starannie zakamuflowaną zasiadkę przy brzegu, gdzieś w pobliżu wystającego z wody kamienia i cierpliwie czekać. Przy odrobinie szczęścia, można go w takich miejscach podpatrzeć, a dysponując aparatem z dobrym teleobiektywem - „złowić" robiąc zdjęcie. A obiekt to niezwykle fotogeniczny. Wystarczy spojrzeć na załączone do niniejszego tekstu zdjęcie znakomitego polskiego fotografa przyrody Łukasza Łukasika, który bez jakichkolwiek ceregieli wyraził zgodę na jego bezpłatną publikację w naszym „Echu", za co serdecznie dzięki.

Nie udało mi się podejrzeć miejsca gniazdowania naszych złotoryjskich pluszczy. Podejrzewam, że przy wspomnianym wcześniej wodospadzie, gdzie bierze początek ich rewir. Uwielbiają bowiem zakładać gniazda z drugiej strony wodnych kaskad, gdzie za taką wodną kurtyną czują się wyjątkowo bezpiecznie. Opisany powyżej biotop pluszcza nie jest jedynym na Kaczawą. Wiem to nawet na pewno. Idąc w górę rzeki, kilkaset metrów powyżej Zakładu Poprawczego jest piękny, wysoki na dobre cztery może pięć metrów wodospad. Prawdziwe uroczysko. Pod nim licznie wystające z wody kamienie, a na nich małe białe plamki ptasich odchodów.....

Marek Sarna

Rendez - vous z ortografią

Z wybitnym językoznawcą, profesorem Janem Miodkiem rozmawia Agnieszka Młyńczak.

Jak się czuje językoznawca, gdy rozmawia z ludźmi, którzy niezbyt dobrze znają język polski i robią błędy?

Mnie każdy człowiek bardzo fascynuje, lubię słuchać ludzi razem z ich słabostkami, z ich pewnymi uwarunkowaniami regionalnymi. Przyznaję, że błędy mogą mnie subiektywnie irytować, zwłaszcza gdy ktoś na początku zdania używa zaimka ***mi***, który w żadnym wypadku na początku zdania pojawić się nie powinien, np. *Mi się to podoba*. *Mi się zdaje*. Tak zaczynają już mówić nie tylko dzieci, ale ludzie dorośli: pisarze, politycy, dziennikarze. Mnie to po ludzku irytuje! Nie mogę jednak – jako językoznawca – nie doszukiwać się w tym pewnego procesu gramatycznego. Muszę być trochę jak botanik, który może się irytować, gdy jakaś roślinka śmierdzi (za przeproszeniem), ale ma obowiązek tak samo ją przebadać, jak roślinkę pięknie pachnącą.

W jednym z tekstów Złotego Dyktanda pojawiło się wyrażenie rendez – vous. W słowniku wyrazów obcych figuruje to wyrażenie jako francuskie.

Tak, francuskie, nie zostało zaadaptowane. I nie można tego inaczej napisać. Tak jak jeszcze nie może zostać zaadaptowany wyraz weekend, który nie wiadomo jak napisać, czy *łykend* czy *weekend.* A już taki *lider*, który w czasach mojego dzieciństwa był pisany jako *leader*, jest prostszy do adaptacji, więc piszemy dzisiaj ***lider***. Wyraz menadżer ma obecnie trzy warianty: można napisać w oryginale angielskim ***manager*** lub ***menedżer*** czy ***menadżer***.

A co z listami elektronicznymi?

Można pisać: ***e-mail***, ***mail***, można też już pisać ***mejl***. Ten ostatni wariant słownik już dopuszcza. ***Dżojstik*** też już można zapisać przez *dż*.

A teraz kilka pytań osobistych. Kiedyś w jakimś programie telewizyjnym zdradził pan, że śpiew jest pana nieodwzajemnioną miłością. Dlaczego?

Dzisiaj już odwzajemnioną! Kilka lat temu Maciej Sygit – doktor ekonomii, inżynier z wykształcenia, stworzył we Wrocławiu – nie rezygnując ze swojej pracy zawodowej – Sygit Band. Jest to grupa muzyków, których łączy pasja muzyczna, mimo że każdy wykonuje swój zawód. Skład zespołu tworzy kilkanaście osób. Później muzycy do zespołu zaprosili ludzi, którzy lubią śpiewać. Do tych solistów należę również ja.

???

Tak! Gramy i śpiewamy wyłącznie charytatywnie, przeważnie we Wrocławiu, lecz również koncertujemy w innych miastach Dolnego Śląska. W moim repertuarze są kawałki z Piotra Szczepanika, jest górnośląskie *Pyk, pyk z fajeczki*, czyli przebój Starzyka z zespołu Śląsk. Od paru miesięcy śpiewam *Gdzie się podziały tamte prywatki,* wykonuję też piosenki z repertuaru Szpilmana *Spacer po starym mieście.* Trochę tego jest. Teraz przygotowuję polską wersję utworu, który został uznany za najpiękniejszy utwór muzyczny dwudziestego wieku. Jest to piosenka Luisa Armstronga *Co za piękny wspaniały świat.*

Śpiewał pan też w chórze uniwersyteckim?

Całe lata śpiewałem w tym chórze, który potem został nazwany Gaudium. Moja żona była na tym samym roku, co ja, jednak matrymonialnie połączył nas chór, bo ona też w nim śpiewała.

Jest pan miłośnikiem sportu, a zwłaszcza piłki nożnej?

Oczywiście, stary kibic Ruchu!

Jak pan odbiera rezygnację działaczy z orzełka na koszulce zawodników?

Nie podniecam się tym, nie powinno się z niczym przesadzać. Przecież orzeł jest, tylko wystylizowany. Nie należę do tych hurrapatriotycznych zapaleńców, ale wyznam, że bez Polski nie umiem żyć. Jestem nią przeniknięty do piętnastej skóry. Już po tygodniu pobytu za granicą dostaję fioła i myślę tylko o powrocie do kraju. Jednak nie lubię, gdy ktoś natrętnie próbuje mi wmówić patriotyzm. Wtedy rodzi się we mnie bunt.

Ale jednak kibice nie przyszli na mecz z powodu protestu właśnie przeciwko brakowi orła.

No tak… Jednak myślę, że w ogóle zainteresowanie sportem w Polsce siadło straszliwie. Pamiętam niedziele, gdy na meczu pierwszoligowym było dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy ludzi. Dzisiaj sprawozdawcy podniecają się, gdy na mecz przyjdzie dziesięć tysięcy.

Może dlatego, że bilety są za drogie?

Dlatego, że jest chamstwo!

No właśnie, chodzi pan na mecze na stadion?

Nie chodzę! Nie dlatego, że się boję, że mogę oberwać cegłą czy butelką w łeb. Jest to spowodowane wyłącznie tym, że wyczerpała się moja odporność estetyczna na te bluzgi, na te seanse nienawiści do przeciwnika i seanse przesadzonego patriotyzmu. Bo ja dziękuję za taki patriotyzm, któremu towarzyszy zawołanie „Lej go, bo to obcy!”. Będę tolerował jedynie taki patriotyzm, który szanuje przeciwnika. Przecież to jest tylko sport! Tylko zabawa! Jestem wychowany w takich czasach, że gdy drużyna gości wbiegała na boisko, to cały stadion bił brawo. Taki był obyczaj. Gdy opowiadam o tym w szkołach wrocławskich, to patrzą na mnie spode łba i pytają, „To co wyście byli za kibice?” Odpowiadam wtedy: to MY byliśmy prawdziwymi kibicami, a nie wy teraz.

I jeszcze jedno pytanie językowe, które nurtuje większość złotoryjan. Kiedyś w Złotoryi był plac Wolności, teraz jest Rynek. Co z tym placem? Można mówić pl. Rynek?

Opuszczamy ***plac*** i mówimy tylko ***Rynek***.

Panie profesorze, słuchając dzisiaj pańskiej gawędy zauważyłam, jaką miłością darzy pan język polski. Łatwo można to było wyczytać i z pana twarzy, i z mowy całego ciała.

No tak, w mojej prywatnej hierarchii wartości miłość do języka jest na samej górze. Jednak zależy mi najbardziej na tym, aby mój syn był szczęśliwy, i mój wnuk. No i ***mi*** na początku zdania mnie denerwuje, ale nie przesadzajmy z tym za bardzo, prawda? (śmiech).

Bardzo dziękuję za rozmowę. Życzę panu, panie profesorze, dużo zdrowia i cierpliwości nie tylko do mi na początku zdania, ale też do innych naszych błędów językowych.

Dziękuję bardzo.

∞

Burmistrz Irenusz Żurawski, prof. Jan Miodek, Piotr Plesewicz, Bruno Kalinowski, Magdalena Wilczyńska, Agata Niemczycka, Magdalena Maruck, Aleksander Pecyna, Renata Fuchs, Anna Markiewicz

Sala ZOKiR wypełniła się do ostatniego miejsca

Rozmowa z mistrzem ortografii w kategorii profesores – Aleksandrem Pecyną

Podczas odbierania dyplomu wydawał się pan zaskoczony. Tak było?

W trakcie pisania dyktanda byłem świadom tego, że będzie trudno, bo też przygotowujący zastawili na uczestników parę pułapek. Już za drzwiami sali w szkole podstawowej, gdy padło pytanie „Jak napisałeś? Na pięć czy cztery?” odpowiedziałem: „Liczę na cztery ... i niech nie będzie tam więcej błędów”. Tliła się, co prawda, przez dwa tygodnie nadzieja na dogrywkę, co przewidywał regulamin, ale nie było dodatkowego wezwania, stąd też myśl, że na pewno jest ktoś lepszy, komu udało się ten sprawdzian przejść bezbłędnie.

Chętnie się pan zapisał na dyktando, czy też pod presją? Jak to było?

Do tego, żeby wziąć udział w teście, nikt nie musiał mnie namawiać. Już w momencie, gdy pojawiła się zapowiedź tego otwartego konkursu wiedziałem, że będę w nim brał udział. Została tylko kwestia organizacji czasu tej soboty, która tylko na pozór jest dniem wolnym od pracy. Ale gdy udałem się do naszej złotoryjskiej *Jedynki* i zobaczyłem, jak licznie pojawili się współuczestnicy, utwierdziło mnie to w przekonaniu, że dobrze zrobiłem.

Pisał pan w kategorii profesores, i - jak to ujął dzisiaj burmistrz – „poszliście na żywca”.

Domyślam, się o co w tych słowach chodziło. W tym przypadku trudno się specjalnie przygotowywać, tak jak to mogą na przykład zrobić sportowcy. Nie można również liczyć na to, że akurat się trafi na szczyt formy. Spodziewałem się, że tekst może być najeżony słowami przesadnie haczykowatymi lub wywołującymi długie wahanie, a tu tymczasem „tylko” takie drobiazgi jak chyżo i hoży. Ale gwóźdź został wbity w ostatnim zdaniu, gdzie użyto sformułowania rendez-vous. Życzę wszystkim, by się na taką randkę z ortografią umówili osobiście.

Rywalizowano całkiem na serio...

Z wykształcenia jest pan…

…fizykiem. A gdy się sprawdzi mój uniwersytecki dyplom, to można mówić, że jestem doświadczalnikiem ze specjalnością radiospektroskopia molekularna. Oprócz tego w trochę mniejszym stopniu informatykiem, bo o ile na uczelni w Poznaniu studia trwały pięć lat, to na Uniwersytecie Wrocławskim tylko rok.

Pańscy uczniowie mogą być dumni ze swojego nauczyciela. Jakich rad udzieliłby pan swoim uczniom, aby nie mieli trudności z ortografią?

Miejmy nadzieję, że pogląd ten podzielać będą uczniowie mojej szkoły oraz inne osoby, z którymi mogę się stykać. Jeśli zaś chodzi o dobre rady, to tak jak w sprawach nauczanych przeze mnie przedmiotów: należy zrozumieć, co znajduje się u podstaw. Czasami jest to żelazna logika, czasami zaś specyficzny wyjątek, który tym bardziej zapada w pamięć. No i jeszcze pewne czucie słowa, bo zanim pojawi się ono na papierze, to najpierw jest w głowie, potem przez moment w ręce i czasami to nawet ręka już sama pisze we właściwy sposób.

∞

Rozmowa z mistrzem ortografii w kategorii magisters – Magdaleną Maruck

Miałaś nadzieję na nagrodę?

Czułam, że nie poszło mi źle, chociażby z tego powodu, że wiedziałam, co to jest chomąto. Większość na sali tego nie wiedziała.

Jakie słowa sprawiły ci największą trudność?

Tylko to nieszczęsne *rendez –vous*! Wiedziałam, że jest to wyrażenie francuskie pisane z łącznikiem, ale nie byłam pewna końcówek tych dwóch słów. No i *statua* w dopełniaczu … podczas pisania zawahałam się na chwilę. Najtrudniejsze były nazwy własne Ziemi Złotoryjskiej, np. kościół Mariacki czy kościół Maryi Panny. Spotkałam się z inną pisownią tych słów. Na szczęście znajomi teolodzy pouczyli mnie, że polskie słowo na matkę Boga to Maryja, czym odróżnia się od zwykłej Marii.

Brałaś już kiedyś udział w podobnym dyktandzie?

W wieku szesnastu lat brałam udział w słynnym ogólnopolskim dyktandzie w Katowicach. Pojechałam tam z rodzicami i do dzisiaj mam pamiątkową koszulkę z tego wydarzenia. Nie zajęłam żadnego miejsca, ale miałam ogromną satysfakcję, że wzięłam w nim udział. Oprócz tego parę razy uczestniczyłam w miejskim dyktandzie w Złotoryi. W 1997 roku zajęłam drugie miejsce w Miejskim Konkursie Ortograficznym w grupie klas VII – VIII.

Co trzeba robić, aby pisać bezbłędnie i zostać mistrzem ortografii?

Nie ma na to recepty. Jeśli ma się pamięć wzrokową, pomaga czytanie książek w dużych ilościach. Ja zawsze byłam molem książkowym. Można uczyć się na pamięć reguł, ale to mało pomaga, bo przecież trudno zastanawiać się w trakcie pisania, czy wyraz z *nie* jest przysłówkiem czy imiesłowem. Ale znajomość reguł nie zaszkodzi. A przede wszystkim, aby zostać mistrzem, trzeba dać sobie szansę i wziąć udział w Złotym Dyktandzie. W tym roku była mała konkurencja, więc było łatwiej. Mam nadzieję, że w następnych edycjach Dyktanda udział weźmie większa ilość *magisters*, których przecież w Złotoryi nie brakuje.

Z wykształcenia jesteś germanistką…

… co wcale nie przeszkadza pasjonować się językiem polskim. Poznając obcy język można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy o języku ojczystym. Poza tym nawet germanista musi znać bardzo dobrze język polski, by na przykład robić dobre tłumaczenia. Sporo ludzi pytało mnie po gali wręczenia dyplomów, jak to się dzieje, że nie zapominam polskiej mowy, rozmawiając bez przerwy po niemiecku (mieszkam po drugiej stronie Odry, jednakże chcę tu zaznaczyć, że nie złamałam żadnej z reguł Złotego Dyktanda, ponieważ nadal jestem zameldowana w Złotoryi). Wyjaśniam, że muszę być stale na bieżąco, bo najbardziej wnikliwe pytania dotyczące gramatyki i ortografii polskiej zadaje mi mój mąż, który przez siedem lat uczył się języka polskiego. Oprócz tego piszę maile po polsku, spotykam się regularnie z przyjaciółmi we Wrocławiu, no i przyjeżdżam często do rodziców, którzy nigdy nie pozwoliliby, abym źle mówiła w swoim ojczystym języku.

Agnieszka Młyńczak

„Magisters” tuż przed dyktandem - jeszcze ufni w swoje siły.

Złotoryjskie ortogramy

I Złote Dyktando za nami! Cieszymy się ,że złotoryjanie nie zawiedli i odważnie podjęli to niecodzienne wyzwanie. Już wiemy, że wielu mieszkańcom Złotoryi z ortografią jest po drodze. Chcemy jednak zachęcić do zgłębienia tajników polskiej ortografii tych, którym zabrakło odwagi, by wziąć udział w dyktandzie. W związku z tym uruchamiamy na łamach *Echa* rodzaj poradnika ortograficznego. Naszą listę ortogramów otwierają wyrazy, których pisownia dotyczy wielkiej i małej litery: ***Złotoryja - złotoryjanin, Dolny Śląsk - Dolnoślązak.***

Zasady użycia w tekstach wielkich i małych liter mają charakter konwencjonalny. Opierają się na czterech kryteriach: 1.składniowym, 2.znaczeniowym, 3.graficznym oraz 4.uczuciowym i grzecznościowym.

Poprawność zapisu omawianych ortogramów potwierdzają zasady:

-jednowyrazowe i wielowyrazowe nazwy własne państw, regionów, prowincji, stanów, miast, osiedli, wsi, przysiółków itp. piszemy wielką literą. Zatem:***Złotoryja,***

-wielowyrazowe nazwy geograficzne i miejscowe piszemy wielką literą. Stąd : ***Dolny Śląsk.***

Kiedy przy nazwach miast i krain geograficznych, regionów nie mamy wątpliwości co do ich zapisu, to pojawia się ona wówczas, gdy chcemy się odnieść do ich mieszkańców. Wielką literą zapiszemy ***Dolnoślązak,*** bowiem zasada znaczeniowa mówi: nazwy mieszkańców terenów geograficznych, np. regionów, krain, prowincji piszemy wielką literą.. Zaś ***złotoryjanin*** napiszemy małą literą, gdyż tak zapisujemy nazwy mieszkańców miast, osiedli, wsi.

Szanowni Państwo, słusznie czy nie, znajomość zasad pisowni stała się nie tylko miarą znajomości języka, ale wręcz probierzem kultury osobistej. Nie ma więc innej rady jak poznawać te zasady. Nasz poradnik ma służyć temu celowi.

Z pozdrowieniami
Renata Fuchs i Anna Markiewicz

Polska język - trudna język

Onie, nie poszedłem na Złote Dyktando z własnej i nieprzymuszonej woli. Tak przynajmniej się tłumaczyłem przed przystąpieniem do zawodów, a i teraz to czynię, żeby usprawiedliwić swój nienajlepszy, jak sądzę, wynik. Z drugiej jednak strony od czasów ogólniaka nie startowałem w dyscyplinie, która nigdy nie była moją ulubioną. Bardzo zręcznie określił swój udział w dyktandzie pan Burmistrz i ja się pod tym podpisuję: przystąpiliśmy do niego „na żywca”. Na co dzień staram się nie robić błędów. Jakoś to wychodzi z pomocą edytorów tekstu, które z roku na rok są coraz mądrzejsze i sprawdzają nie tylko ortografię, ale i składnię. Gdy nie mam pod ręką edytora, unikam słów, których pisowni nie jestem pewien. I nie jestem w tym odosobniony, bo jak przyznał pan prof. Miodek, i jemu się to zdarza. To rozleniwia. Sprawia, że dziesiątki razy sprawdzam, jak pisze się np. „na razie”. A tu, nie dość, że nie ma edytora, to jeszcze trzeba pisać w sposób, którego rzadko się już używa, a na pewno nie na takim długim dystansie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jednym ciągiem zapisałem trzy strony A-4. Już w połowie pierwszej strony zaczął mnie boleć nadgarstek, nieprzyzwyczajony do takich ruchów posuwisto-okrężnych. Im dalej, tym brzydsze stawało się moje pismo, które i tak do pięknych nie należy, mówiąc delikatnie. Jedyna pociecha dla sprawdzających, że dziesięć błędów, po których dyktando odkładane jest na bok, moje osiągnęło pewnie w pierwszym akapicie. Jak to bywa ze sprawdzianami wiedzy wszelakiej, opamiętanie przychodzi po fakcie. Gdy człowiek już zadowolony, nastawia uważnie ucha i wsłuchuje się w żale nad popełnionymi błędami swoich konkurentów, myśli, że dane słowo, z którym inni mieli kłopoty, napisał dobrze, okazuje się, że dwa sąsiednie, pisze się zupełnie inaczej, niż do tej pory sądził.

Co daje takie dyktando? Przede wszystkim uczy pokory wobec języka ojczystego. I choć, jak stwierdził podczas swojego wykładu pan profesor Jan Miodek, język polski należy do jednych z łatwiejszych i to nie tylko w Europie, to pułapki wszelkiego typu czają się w każdym niemalże zdaniu. A jak już ktoś chce nam dodatkowo utrudnić życie – nie ma z tym większego kłopotu. Udział w dyktandzie sprawia również, że tym większy jest nasz podziw dla tych, którzy takie zawody wygrywają. Dlatego chylę czoła przed tymi, którzy zwyciężyli: Brunonem Kalinowskim (SP nr 3) wśród pacholąt, Piotrem Plasewiczem (SP nr 3) wśród sztubaków, Magdaleną Wilczyńską (Gimnazjum nr 2) w grupie młodszych żaków, Agatą Niemczycką (LO) wśród starszych żaków, Magdaleną Maruck wśród „magisters” i Aleksandrem Pecyną wśród „profesores”.

Wisienką na tym torcie był dwa tygodnie później wykład, a właściwie spotkanie z panem profesorem Janem Miodkiem, którego słucha się, ale i ogląda zawsze z wielką przyjemnością.

Na pewno było to wydarzenie szczególne wśród tegorocznych imprez bardziej lub mniej poświęconych jubileuszowi naszego grodu. Tym bardziej będę kibicował jego organizatorom a szczególnie Renacie Fuchs i Annie Markiewicz, aby za rok nastąpiła powtórka z rozrywki.

Niby żartem, zaproponowałem, żeby w przyszłym roku oprócz pacholąt, sztubaków, żaków, magisters i profesores – w specjalne szranki stanęli również złotoryjscy poloniści. Jak się bawić, to na całego! Nie widzę jednak entuzjazmu wśród szanownego grona pedagogicznego.

Robert Pawłowski
Zdjęcia: Iwona Pawłowska i Robert Pawłowski

Herb i flaga Złotoryi cz. 1.

Heraldyka samorządowa powiatu złotoryjskiego cz. 2.

Złotoryja, znana również, jako Aureus Mons, Goldberg, czy chociażby Złota Góra jest najstarszym udokumentowanym miastem lokowanym na prawie niemieckim na terenie Polski. Herb, który towarzyszył Złotoryi od bardzo dawna, posiada długą tradycję oraz ciekawą, wartą opisania historię. Jego aktualny wizerunek prezentuje się następująco: w złotym polu tarczy czarny orzeł heraldyczny z głową w prawo zwrócony, z półksiężycową srebrną przepaską przez tułów i skrzydła, stojący na niskim zielonym trójwzgórzu wyłaniającym się z dolnej krawędzi tarczy. Aktualnie stosowany herb został zatwierdzony przez Podkomisję Komisji Kultury, Oświaty i Kultury Fizycznej na posiedzeniu dnia 18. czerwca 1999 roku, która uprzednio zapoznała się z naukową opinią Zarządu Polskiego Towarzystwa Heraldycznego

Obecny obraz herbu Złotoryi posiada dalekie korzenie, które sięgają przełomu wieków XIV i XV. Od tamtej pory ulegał różnym drobnym zmianom i przekształceniom, jednak główna koncepcja herbu nie zmieniła się do dzisiaj. Złotoryja, w odróżnieniu od Legnicy czy też Wrocławia, nie posiadała dyplomu herbowego, dlatego też, aby odtworzyć jak najdokładniejszą historię współczesnego herbu miasta i poznać jego rozwój na przestrzeni wieków, trzeba sięgnąć do zachowanych pieczęci miejskich. Pieczęć, jako znak tożsamy i symbol niezależności dla danego ośrodka miejskiego, była umieszczana na dokumentach, własności miejskiej (między innymi budynki, sprzęty, towary, granice miasta na słupach) itp., co było tym bardziej pomocne, biorąc pod uwagę, iż większość społeczeństwa była niepiśmienna, zastępowało to podpis i było powszechnie zrozumiałe. Następnie, gdy zaczęły powstawać herby, przenoszono na nie wizerunek z pieczęci, dlatego są one bardzo ważne dla heraldyki.

Najstarsza zachowana, nieuszkodzona pieczęć złotoryjska, znajduje się w archiwum joannitów w Pradze i posiada średnicę 68 mm. Dokument, przy którym wisi, pochodzi z 20. grudnia 1268 roku. Przedstawia ona

trzy góry (kojarzone z górami złotonośnymi) porośnięte krzewami oraz trawami. Wyróżniają się realistycznie przedstawione dwa małe drzewka lipowe wyrastające na stokach bocznych pagórków, każde z trzema dużymi liśćmi. Pomiędzy nimi na środkowym wzgórzu znajduje się krzew z trzema łodygami, zakończonymi trzema owocami lipy. Napis otokowy pieczęci zapisany jest majuskułą gotycką i brzmi: + S[igillum] VNIVERSITATIS . DE . AVREOMONTE (łac. sigillum = pieczęć). Mimo, że najstarszy znany nam odcisk pochodzi z 1268 roku, to cechy epigraficzne legendy otokowej oraz obrazu pozwalają uznać, że pieczęć taka była używana już w pierwszej połowie XIII wieku. Dodać trzeba, iż jest to jednocześnie najstarsza zachowana pieczęć miejska z terenu Śląska, obok pieczęci Wrocławia oraz Nysy. Rozmiar pieczęci ma także bardzo duże znaczenie. Wielkość wyznaczała pozycję oraz prestiż miasta. Wymiary owej opisywanej pieczęci dorównują innym XIII-wiecznym pieczęciom największych i najbogatszych miast Śląska, między innymi Wrocławia, Legnicy czy Świdnicy. Znaczenie Złotoryi wiąże się z tym, iż był to w owych czasach największy ośrodek górniczy trudniący się wydobyciem złota na Śląsku, konkurencję stwarzał jedynie Lwówek Śląski. Pieczęć ta reprezentowała Złotoryję aż do końca XIV wieku. Taką samą znajdujemy między innymi na dokumentach z 1292, 1328, 1348, 1369 oraz 1372 roku.

Na przełomie XIV i XV wieku pojawiła się nowa pieczęć o wiele mniejszej średnicy – 36 mm, tak zwana pieczęć sekretna. Wzgórza nadal widnieją w wyobrażeniu napieczętnym jednak są one znacznie mniejsze a ich liczba została zwiększona z trzech do pięciu. Po bokach także znajdują się dwa krzewy, natomiast na środkowym pagórku pojawia się całkiem nowy element, mianowicie orzeł heraldyczny zwrócony głową w prawo. Napis otokowy tym razem zapisany minuskułą gotycką brzmi: + secretum . civitatis . de . aureomonte. Znane są odciski tej pieczęci z dokumentów z lat 1403-1406. Znany niemiecki heraldyk Otto Hupp pisze, iż taka pieczęć występowała w roku 1447, jednak o większej średnicy – 48 mm. Nowa pieczęć sekretna, o średnicy 45 mm, pochodzi z drugiej połowy XV wieku. Zmieniają się proporcje, pagórki są o wiele mniejsze a orzeł heraldyczny zajmuje prawie całe pole pieczęci. Napis otokowy zapisany minuskułą gotycką głosi tak samo: + secretum . civitatis . de . aureo . monte, z tym wyjątkiem, że pomiędzy wyrazami pojawiają się drobne rozetki. Taka pieczęć miała być używana przez miasto aż do XVIII wieku.

Z XVI wieku pochodzą pieczęcie przedstawiające orła heraldycznego stojącego na trzech wzgórzach. Jedna posiada 26 mm średnicy a napis wczesnorenesansowy na otoku brzmi: SI CIVITATIS AVREOMONT, natomiast ta z lat 1543 i 1547 jest nieco większa, ma średnicę 28 mm i napis zapisanym majuskułą: + SIGIL . CIVITA . GOLTBERG.

Na początku XVII wieku pojawiła się barokowa mała pieczęć o średnicy 25 mm, która przedstawia na ledwo widocznych pagórkach zwróconego w prawo orła. Napis otokowy jest niestety nieczytelny z powodu zatarcia. Dodać warto, iż w tym samym wieku, a dokładniej w roku 1621, książę legnicko-brzeski Jerzy Rudolf udzielił Złotoryi zezwolenia na bicie monety. Były to monety zdawkowe o wartości 1-3 halerzy, powstawały w latach 1621–1623 a bite były z wydobywanej w okolicy miedzi. Na monetach 3–halerzowych został uwieczniony herb miasta.

Od 1633 roku Złotoryja posiada nową pieczęć, w której orzeł stojący na słabo widocznych trzech wzgórzach zwrócony jest w lewo a nie jak przez cały czas wcześniej w prawo. Dokoła niej widnieje napis: SIGILVM . GOLDBERGENSIS 1633. Taka sama pieczęć o średnicy 30 mm znana jest nam z 1680 roku. Odwrócenie orła nie jest niczym nowym w śląskiej heraldyce miejskiej tego okresu. Podobne tego typu zabiegi zostały zastosowane w herbach Oławy oraz Środy Śląskiej. Zmiany te były jednak tylko czasowe, po pewnym czasie wizerunki orłów wróciły do swych wcześniejszych, poprawnych wersji. Natomiast Złotoryja jest tutaj wyjątkiem, gdyż zmiana ta trwała o wiele dłużej.

Z roku 1738 znane są nam dwie pieczęcie. Pierwsza o średnicy 23 mm przedstawia na trzech pagórkach orła, jednak jego głowa jest zwrócona do tyłu, a napis dokoła brzmi: SIGILLUM CIVITATIS GOLDBERGENSIS 1738. Druga jest nieco mniejsza, jej średnica wynosi 22 mm, a wyobrażenie napieczętne różni się tym, iż głowa orła zwrócona jest w lewo a skrzydła uniesione są do lotu. Jak widać, rok ten przyniósł spore zmiany w wyglądzie orła.

W 1740 r. Śląsk przechodzi pod władzę Prus, co zostaje zaznaczone w pieczęci miejskiej. Pieczęć magistratu złotoryjskiego z roku 1800 przedstawia heraldycznego orła na wzgórzach z głową zwróconą w prawo. Napis otokowy brzmi: SIEG: DES MAGISTRATS D: KON: PR: STADT GOLDBERG. Pieczęć ta ma średnicę 31 mm. Podczas kampanii napoleońskich orzeł na pieczęciach ukazywany był w stylizacji napoleońskiej, następnie w stylizacji pruskiej.

Znane są także dwie pieczęcie ławników miejskich Złotoryi pochodzące z XV w. Pierwsza z roku 1425 o średnicy 26 mm przedstawia orła zwróconego głową w lewo a napis otokowy zapisany gotycką minuskułą brzmi: schabinoru . goltberg. Kolejna została znaleziona przy dokumencie z drugiej połowy XV wieku, a dokładnie z 1485 roku. Jej średnica wynosi 28 mm a obraz ukazuje orła w półprofilu zwróconego w lewo, stojącego na środkowym z pięciu wzgórz. Legenda w otoku zapisana minuskułą gotycką zawiera: + sigillu . scabinoru . goltbergeciu. Jak twierdzi Rościsław Żerelik, pieczęcie ławnicze miały prawdopodobnie wpływ na zmianę ułożenia głowy orła w miejskich pieczęciach Złotoryi od połowy XVII wieku.

Mateusz Gralak

Zapomniane - odszukane

Piwne tradycje

O złotoryjskich browarach wspominaliśmy już wiele razy, teraz przyszedł czas na tajemniczego przedsiębiorcę, niejakiego Bruno Reissa. Mało o nim wiemy, ale odnalezione w Internecie oraz na portalach aukcyjnych przedmioty jasno mówią nam, że był właścicielem rozlewni wody mineralnej oraz hurtownikiem złotego trunku, czyli piwa.

Fotografie przedstawiają porcelanowe korki od butelek. Pierwszy z nich to korek od wody mineralnej, widnieje na nim napis „GOLDBERGER Mineralwasserfabrik von Bruno Reiss", co w przybliżeniu można przetłumaczyć Złotoryjska Fabryka Wody Mineralnej Bruno Reiss.

Następna „porcelanka", bo tak kolekcjonerzy mówią na porcelanowe korki do butelek, pochodzi z rozlewni/hurtowni piwa tegoż właściciela. Na korku możemy przeczytać „BRUNO REISS Biergrosshandlung GOLDBERG i/SCHL." (Bruno Reiss Hurtownia Piwa Złotoryja na Śląsku).

Obie porcelanki prawdopodobnie pochodzą z początku XX wieku. Kolekcjonerom znany jest też korek od wody mineralnej Reissa w innym kształcie, ale niestety jest bardzo mało czytelny. Może czytelnicy wiedzą coś więcej o wymienionym fabrykancie a także to, gdzie miesiła się jego rozlewnia oraz w którym roku powstała?

Przemysław Markiewicz
fot. www.myvimu.com - zbiory użytkownika Ludwik

Warto przeczytać

Pionierskie lata

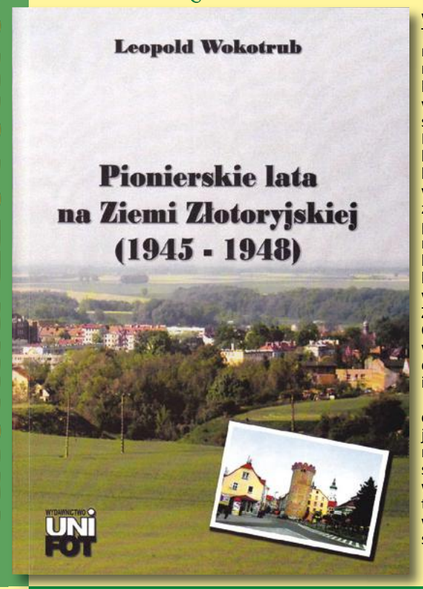

Do grona autorów książek o ziemi złotoryjskiej dołączył Leopold Wokotrub, znany wcześniej m.in. z artykułów o repolonizacji po ostatniej wojnie.

Autor porusza się po obszarze powiatu w granicach z lat 1945-1975. Teksty kolejnych rozdziałów o repolonizacji w latach 1945-1947, wojskach radzieckich, polskim osadnictwie i bezpieczeństwie socjalnym ludności, wzajemnych relacjach Niemców i polskich pionierów, działalności Urzędu Bezpieczeństwa i MO, wysiedleniach ludności niemieckiej i walce reżimu komunistycznego z opozycją powstawały w latach 1992-2010. W publikacji znajdziemy wiele nieznanych do tej pory fotografii. W aneksie zgromadzono, z myślą niewątpliwie o nauczaniu historii regionalnej, fragmenty wybranych źródeł historycznych. Autor wyraża wdzięczność absolwentom Zespołu Szkół Zawodowych i Liceum Ogólnokształcącego, którzy pomagali w gromadzeniu wspomnień i wywiadów, dedykując swą pracę Pionierom i absolwentom ZSZ.

Szkoda, że w książce pominięto życie religijne w tym okresie (znajdziemy jedynie fotografię z księdzem M. Dumasem oraz fragment relacji burmistrza Z. Miszczaka z 1947 r.) oraz nie wykorzystano w ogóle zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu, bez których nie sposób dzisiaj pisać o powojennej historii naszej ziemi.

Roman Gorzkowski

Stara litografia

Na długie jesienne wieczory proponujemy dzisiaj litografię, której zabrakło w wydanym dwa lata temu przez TMZZ zbiorze z najstarszymi widokówkami Złotoryi. Litografie to najbardziej barwne widokówki, jakie drukowano na przestrzeni ostatnich dwóch wieków. Różnią się one od pierwowzoru pocztówek (które były na ogół jednokolorowe-czarnobiałe lub w różnych odcieniach czerwieni) tym, że autorzy nadużywali wręcz kolorowych farb do przedstawienia widoków.

Przełom XIX i XX wieku to „Złoty Wiek" kartki pocztowej. Z tego okresu pochodzą te najbardziej barwne i wyszukane. Autorzy umieszczali na nich najciekawsze ich zdaniem miejsca – na karty trafiły więc oprócz ogólnych panoram miejsca zupełnie „zwykłe'- kamienice, ulice. Prezentowana pocztówka została wysłana w 1906 r, a jej wydawca to Otto Tscheuschler, który miał swój warsztat na początku dzisiejszej ulicy Mickiewicza.

Na pocztówce widać wyraźnie warsztat Tscheuschlera (po lewej) oraz, co dzisiaj może dziwić, warsztat największego konkurenta, Louisa Wilde, również autora wielu złotoryjskich pocztówek (po prawej). Ta reklama obu wydawców świadczy o wzajemnym szacunku i o zdrowej konkurencji.

Ciekawostką jest również to, że kartka ma miejsce do korespondencji tuż obok widoków, a cała tylna strona przeznaczona została na adres. W świecie kolekcjonerów wystarczy określenie: „długie linie adresowe" lub po prostu „gruss" (w języku niemieckim Gruß to „pozdrowienie").

Piotr Klimaszewski

Kącik starej widokówki

Historia jednej fotografii

Utracona pierzeja

Budynek, którego nie ma przeżył wkroczenie Armii Czerwonej do Złotoryi. Zniknął w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie. Decyzją władz rozebrano całą pierzeję. Kto pamięta dzisiaj okoliczności, które spowodowały, że obecnie w tym miejscu mamy zupełnie inną zabudowę?

Józef Banaszek

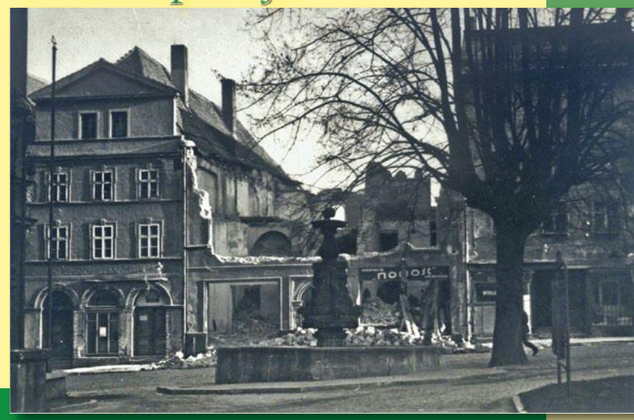

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl,
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
„Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

Powiatowy Bank Spółdzielczy
w Złotoryi

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSSSA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE

NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023